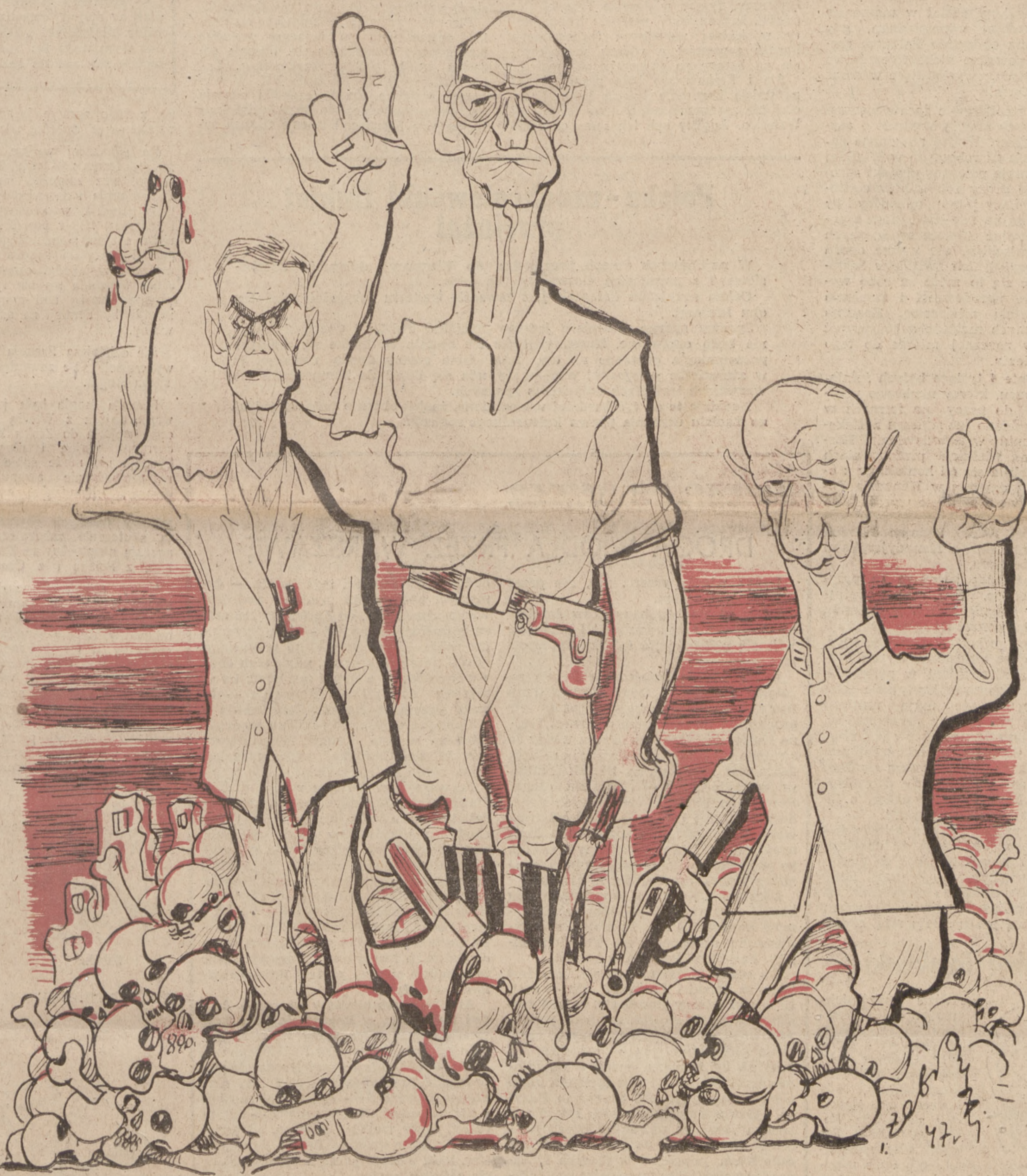
# TYDZIEŃ

Nr 10 (34) ROK II

9. III. 1947

CENA 12 ZŁ

**DWUGŁOS O AMERYCE:** Jerzy Kirchmayer — Polonia Amerykańska
E. Żytomirski — W cieniu drapaczy chmur

# tak i nie

## Powrót do gniazda

Pierwszy Sejm Trzeciej Rzeczypospolitej uchwalił **jednomylnie** apel do Polaków za granicą, wzywający ich do powrotu do Ojczyzny. Apel, uchwalony jednocześnie z aktem amnestyjnym i z deklaracją praw i wolności obywatelskich stanowić będzie dla przebywających jeszcze za granicą podstawę do rewizji ich poglądów na nową Polskę, na ustrój demokratyczny, a tym samym na sprawę samego powrotu do kraju.

Apel uchwalony został w momencie bodaj najbardziej odpowiednim, gdy pozostałym na obczyźnie Polakom grozi już dziś poważne niebezpieczeństwo wynarodowienia, występujące w coraz jaśniejszej formie.

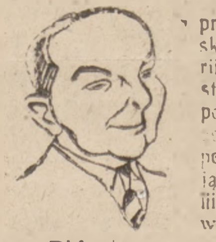
W Anglii ministrowie spraw wewnętrznych i pracy mówią otwarcie o asymilacji Polaków. Wobec znacznego zapotrzebowania sił roboczych w Wielkiej Brytanii istnieje poważny projekt sprowadzenia do pracy robotników cudzoziemskich. Polacy jednak, uchodźcy i byli żołnierze, są na miejscu i mogą z powodzeniem zająć miejsce zwalnianych jeńców niemieckich, ale wobec oporu ze strony brytyjskich związków zawodowych stać się to może za cenę wyrzeczenia się narodowości i stopienia się z ludnością miejscową. Znaczna ilość mieszanych małżeństw przyczynić się może w znacznej mierze do tego wynarodowienia.

Jednocześnie 4 tysiące byłych żołnierzy II Korpusu, którzy niedawno przyjęci zostali do pracy na fermach w Kanadzie poddano już silnemu naciskowi w kierunku wynarodowienia. Rozrzuconych na wielkich przestrzeniach żołnierzy izoluje się od kontaktów z osiadłymi już dawniej w Kanadzie Polakami i dąży się zupełnie wyraźnie do wyłączenia ich spod kontroli przedstawicieli nowej Polski, żądając od nich zasymilowania się z Kanadyjczykami za cenę dobrobytu.

Jeszcze bardziej jaskrawe są przykłady z Niemiec. Gubernator brytyjskiej strefy okupacyjnej w Niemczech, marszałek lotnictwa Douglas oświadczył, że liczni uchodźcy i wysiedleńcy, którzy nie chcą wracać do swych krajów, zostaną zatrudnieni w przemyśle niemieckim, ponieważ brytyjskie władze okupacyjne nie mają zamiaru utrzymywać 270 tysięcy darmozjadów. Wśród tej masy wysiedleńców jest również wielu Polaków. Sprowadzeni niegdyś na roboty przymusowe do Niemiec, będą zmuszeni obecnie dobrowolnie tuczyć Niemców swą pracą, o ile odmówią powrotu do ojczyzny.

Wreszcie premier rządu szlezwicko-holsztyńskiego oświadczył, że obcokrajowcy, rekrutujący się z byłych wysiedleńców i uchodźców będą mogli ubiegać się o obywatelstwo niemieckie. W tym wypadku zasilą naród niemiecki nie tylko swą pracą, ale i swą krwią.

## Symbol Dunkierki



Bidault.

Józef Chamberlain, premier Jej Królewskiej Mości Wiktorii, pierwszy z dynastii Chamberlainów polityków, był wielce zdumiony, gdy pewnego dnia starzejący się książę Walii, późniejszy Edward VII, napomknął mu o ewentualności zawarcia z Francją przymierza. Zdumienie nie było wcale nieuzasadnione. Lord Kitchener nadsyłał z Chartumu wojownicze raporty, domagające się ukarania Francji za incydent Faszody, za próby wdarcia się do Sudanu, za współzawodnictwo w wyścigu kolonialnym w Afryce.

Toteż koncepcja następcy tronu nie bardzo się mieściła w głowie Józefa Chamberlaina. Wielki Disraeli, lord Beakonsfield, byłby ją zapewne w lot zrozumiał. Wszak uratował Francję przed nowym najazdem Bismarcka, gdy po Sedanie dążyła do reorganizacji swej armii i podniesienia jej stanu liczebnego przez wprowadzenie w pułkach czwartych batalionów. Disrael umiał nawet wobec apodyktycznej królowej zachować swą indywidualność, choć spełniał wiele jej politycznych zachcianek. Ale Józef Chamberlain, raczej sztywny dyplomata starej szkoły, aniżeli giętki polityk, był zgorszony propozycją księcia Walii.

Zza londyńskiej mgły rosnące niebezpieczeństwo niemieckie pod rządami Wilhelma II było mniej widoczne, aniżeli z Paryża. Dostrzegli je jednak nie politycy francuscy, żyjący w dosycie Trzeciej Republiki, lecz angielski następca tronu, który w lekkiej atmosferze rozbawionego Paryża zapomniał o nudach wyczekiwania na koronę po długowiecznej matce.

Ale i Francja nie była przygotowana na śmiałą koncepcję księcia Walii. Francuzi nie zapomnieli ani Joanny d'Arc, ani Waterloo. Anglicy byli tak samo odwiecznymi wrogami Francuzów, jak i Niemcy. W miarę jednak oddalania się od epoki Bonapartego, pozostawała po niej legenda i pełen glorii nimb. Realna natomiast była idea odwetu za Sedan, pielęgnowana przez zażartego republikanina, Jerzego Clemenceau. I we Francji on pobłogosławił nowemu związkowi, który książę Walii zaczął nawiązywać z Delcassém.

Że księciu Walii udało się przełamać opory psychologiczne również w Londynie, świadczy o jego wybitnych zdolnościach dyplomatycznych. „Entente Cordiale" została zawarta i wytrzymała próbę w czasie pierwszej wojny światowej, choć jej twórca już tego nie doczekał.

Pierwsze przymierze angielsko-francuskie oparte było na zasadzie pewnego wzajemnego uzupełniania się. Francja posiadała armię lądową, Anglia flotę. Takie było założenie Edwarda VII. W wojennej praktyce oba te czynniki okazały się niewystarczające do przeciwstawienia się potędze Niemiec. Francuzi zdawali sobie z tego sprawę jeszcze przed wojną, wzmacniając Ententę udziałem Rosji.

Po pierwszej wojnie światowej przymierze francusko-angielskie zostało odnowione, lecz załamało się w tragicznych dniach maja i czerwca 1940 roku na polach Flandrii, w krwawym odwrocie ku Dunkierce. Hitler powtórzył nieudany manewr sztabu niemieckiego z r. 1914, zepchnął brytyjski korpus ekspedycyjny w morze i zmiażdżył osamotnioną Francję, która wyrzekła się nie tylko sojuszu, ale proponowanej unii imperiów, która pozwoliła by Francji na dalsze prowadzenie wojny.

Ale dzisiejsza Francja nie zapomina, że wyzwolenie swe zawdzięcza przede wszystkim Anglii.

Francja mogła była już wcześniej zawrzeć sojusz z Wielką Brytanią, ale za cenę wejścia do Bloku Zachodniego. Wyczerpana wojną i długoletnią okupacją Francja nie może sobie jednak pozwolić na prowadzenie awanturniczej polityki bloków, prowadzącej do nowych tarć i zbrojeń. Podjęła natomiast politykę rozbudowy dawnych sojuszów, które mają ją skutecznie zabezpieczyć przed nową agresją niemiecką: ze Związkiem Radzieckim, z Polską i z Czechosłowacją.

Nowy sojusz francusko-brytyski podpisany został w Dunkierce, w starej twierdzy flandryjskiej, która ongiś stanowiła w rękach Anglików pistolet, wymierzony w piersi Francji, a w r. 1940 stała się widownią niezwykłego wydarzenia wojennego. Stąd właśnie, przez plaże zasiane wszelkim sprzętem wojennym, porzuconym przez wojska, odbywał się pod obstrzałem samolotów niemieckich skuteczny odwrót przez morze kilkusettysięcznej armii angielsko-francuskiej. Klęska flandryjska zamieniła się w Dunkierce na wielki sukces taktyczny, choć stała się grobem oficjalnego sojuszu francusko - brytyjskiego. Dlatego podpisanie trzeciego sojuszu w Dunkierce podniesione zostało przez obie strony do wielkości symbolu.



Bevin

### NASZA OKŁADKA



*Rys. Julian Żebrowski.*

**— Jesteśmy niewinni — zapewniali w swym ostatnim słowie Fischer, Meissinger i Daume. Sąd polski wymierzył im sprawiedliwość i zostali skazani na śmierć.**

## Polsko - czechosłowacki traktat przyjaźni

**W najbliższych dniach przyjeżdża do Warszawy delegacja Czechosłowacji z premierem Gotwaldem na czele.**

**Celem przyjazdu delegacji jest zawarcie traktatu przyjaźni pomiędzy obu krajami.**

**Sprawy sporne istniejące jeszcze pomiędzy Polską i Czechosłowacją nie będą omawiane. Rozstrzygnięcie ich zostało w drodze uprzedniego porozumienia odłożone na dwa lata. Obie strony żywią nadzieję, iż w atmosferze przyjaznej współpracy uda się dojść do kompromisu we wszystkich kwestiach dotychczas spornych.**

**Nadzieje te są tymbardziej uzasadnione, że już obecnie ludność polska na Zaolziu uzyskała prawa kulturalnego rozwoju.**

### Ostrze na ostrze

## DROGA WIODŁA PRZEZ WARSZAWĘ

**Droga wiodła przez... nie, nie przez Narvik tym razem.**

**Obok kamienistych szlaków żołnierskich, często przez pustynie i bezdroża, wije się niedostępnie ścieżka dyplomatów.**

**Bywa tak, że zaśpiewa radośnie na „alarm odwołany" syrena i wystrzeli ileś tam armat na zwycięski salut tyle prochu, na ile stać dane państwo. Wojna skończona! Żołnierz skręca wtedy ze swojego szlaku do przydrożnej chałupy, która jest jego domem. Plecak żołnierski wędruje w kąt — wojna skończona! Powrót do innych, codziennych zajęć, do matek, żon i dzieci i — od czasu do czasu tylko jakieś wspomnienie dawnych bojów, jakieś rwanie w kościach po przebytej ranie na zmianę pogody — strzęp leśnej, czy frontowej piosenki.**

**Lecz gdzie są ci, co towarzyszyli mu kiedyś z ukrycia? Jakiś żongler aforyzmów powiedział raz, że wojna dla dyplomatów nie kończy się właściwie nigdy. Przybiera tylko inny kształt.**

**Tu szach (zwłaszcza wtedy, gdy jest to szach perski i ma naftę) tam — mat, tu uczeni, którzy głowią się, w jaki sposób zapalniczki zapalać atomem, tam — wyprawy podbiegunowe badają zwyczaje pingwinów, tu — manewry na pustyni, by żołnierz oswoił się z fatamorganą, tam — wielkie igrzyska olimpijskie, względnie sąd greckiego Paryssa, którą z Trzech Wielkich Bogiń ma sobie wybrać na patronkę. Wreszcie — można spróbować poszukać złota na dnie Renu, poszperać w starych klechdach germańskich, wywołując z zaświatowych pól Walhalli ducha niejakiego Adolfa, by wskazał odpowiedniego po sobie następcę.**

**Prócz takich szachów, sportów i seansów spirytystycznych, czym by tu jeszcze wypełnić sobie mogli czas pracowici dyplomaci?**

**Oczywiście — podróżami. Nic tak nie kształci bowiem, jak podróże, a ciągła praca nad pogłębianiem swej wiedzy, zwłaszcza geograficznej, dodaje niezawodnie splendoru i poważania w oczach przeciwników a także przyjaciół.**

**Aby jeden nie wyprzedził drugiego i nikt nikogo nie ubiegł w poznawaniu cudów i cudaczności tego świata — dyplomaci postanowili zgodnie podróżować razem. I tak, od dłuższego już czasu podróżują do spółki — to przygadując sobie czasem, jak to w pociągu wśród pasażerów bywa, gdy jeden chce otworzyć okno, a drugi zamknąć, bo w różnych chowali się klimatach — to znów przepraszając się wzajemnie i schlebiając przyjaciołom. Tak wędrują sobie po świecie Czterej Muszkieterowie, Wielka Czwórka, zwiedzając kolejno różne stolice świata.**

**Pogwarzyli w Nowym Jorku, u stóp Statui Wolności, która trochę niedowidzi, tak ją oślepia blask własnej pochodni, pogwarzyli w cieniu wiecznie odmładzającej się wieży Eiffla w świetlanym, aczkolwiek czasami przyciemnianym z powodu braku węgla Paryżu, pomarzli solidnie w Londynie, z którego nawet Jego Królewska Mość uciekła do cieplejszej nieco Afryki — teraz z kolei postanowili udać się z biciem serca do dalekiej, legendarnej Moskwy. Może tam będzie cieplej, wbrew przepowiedniom zawodowych pesymistów.**

**Aha — zapomnieliśmy jeszcze — kiedyś byli także w Poczdamie koło Berlina, ale o tym niektórzy woleliby podobno trochę zapomnieć...**

**Ale — cóż okazało się? Droga obecna prowadzi przez Warszawę! I tak, niektórzy przyjaciele - dyplomaci musieli o nią zawadzić. W ten sposób — często ruiny, ślady wojny i potężne, odradzające się życie stają na drodze dyplomatów, każą o sobie pamiętać i upominają się o swoje prawa.**

**Radzi będziemy, jeśli te właśnie powarszawskie refleksje towarzyszyć będą naszym przyjaciołom - dyplomatom w ich wędrówkach po szerokich szlakach i na trudnych, wąskich ścieżkach. Gdyby tak było — poczulibyśmy się w prawie mieć nadzieję, iż ich szósty z kolei postój w stolicach — szósty dzień tworzenia nowego świata — przypadnie właśnie u nas, w zniszczonej, przyciasnej, lecz zawsze gościnnej Warszawie. I wtedy — po trudach nastanie siódmy dzień — niedziela wypoczynku, pok... i radości.**

**AVIS**

### SOJUSZ FRANCUSKO - BRYTYJSKI



**— Oh, droga Marianno!**
**— Oh, drogi Johnie!**

(„Action" — Paryż)

tak i nie STRONA 4

Jadwiga Żylińska

# FOREIGN OFFICE
## i polityka zagraniczna Wielkiej Brytanii

RICHARD Crossman, były polityczny doradca generała Eisenhowera w Afryce i Europie, obecnie członek parlamentu z ramienia Labour Party wyraził się w essay'u zatytułowanym „Foreign Office", że „Wojna ta odznaczyła się największym kontrastem, zachodzącym pomiędzy sukcesem strategii angloamerykańskiej, a porażką angloamerykańskiej dyplomacji".

Przyczynę porażki dyplomacji brytyjskiej na świecie upatruje Mr. Crossman m. in. w konstrukcji angielskiego Foreign Office, która absolutnie nie odpowiada teraźniejszej sytuacji.

W ciągu całego XX wieku głównym zadaniem polityki angielskiej była ochrona prywatnej inicjatywy Brytyjczyków na całym świecie. Pod kątem potrzeb kapitału angielskiego zostało zbudowane imperium kolonialne, wraz z jego wszystkimi konfliktami". Powstanie sporu między Mahometanami a Hindusami jest w dużej mierze tworem polityki Torysów" (H. N. Brailsford, „Statesman and Nation" 10.VIII. 1946). Dopóki ochrona kapitału angielskiego w koloniach i polityka równowagi sił w Europie pokrywała się z interesami Wielkiej Brytanii — która w owym czasie była mocarstwem zdolnym do ekspansji — Foreign Office spełniał swoje zadanie.

Podczas pierwszej wojny światowej mocarstwowość Wielkiej Brytanii spotkała się z rywalizacją Stanów Zjednoczonych. Do drugiej wojny światowej wystąpiło trzecie mocarstwo — Związek Radziecki. Już na początku drugiej wojny zaczął rysować się pewien kryzys zarówno w wewnętrznej jak i imperialnej strukturze Wielkiej Brytanii i — można zaryzykować twierdzenie, że Foreign Office nie nadążył za dziejącymi się przemianami.

Dyplomaci angielscy rekrutowali się przeważnie ze sfer kapitalistyczno - arystokratycznych, a miarą ich kwalifikacji była raczej znajomość języków i ogłada towarzyska niż znajomość ekonomii i socjologii. Te kwalifikacje były zresztą wystarczające, gdy relacje dyplomatyczn. odbywały się między jednym dworem panującym a drugim dworem panującym, lecz stały się absolutnie niemiarodajne, gdy polityka zagraniczna stała się stosunkiem między narodami.

Selekcja ludzi, wchodzących do Foreign Office uległa wprawdzie wielkiej demokratyzacji w roku 1919, kiedy to minimalny dochód prywatny w sumie 400 funtów rocznie, przestał być normą obowiązującą dla kandydata służby dyplomatycznej. Lecz pomimo tej reformy dyplomaci angielscy w dalszym ciągu nie mieli żadnych kontaktów z opinią publiczną narodów, przy których rządach byli akredytowani.

TAK przedstawiały się sprawy aż do r. 1939, czyli do wybuchu wojny. Z chwilą gdy Niemcy opanowali całą Europę, a tym samym zlikwidowali angielskie placówki dyplomatyczne w poszczególnych krajach, Anglia została odcięta od Europy, o wyrwanie której z przemocy nazizmu toczyła się wojna. Nawiązanie kontaktu z krajami okupowanymi było więc rzeczą pierwszorzędnej wagi, gdyż od morale i postawy narodów europejskich zależał w dużej mierze sukces inwazji, a nie od opinii rządów emigracyjnych, osiadłych w Londynie.

W tej sytuacji okazało się, że doświadczenia i wiadomości angielskiego Foreign Office są niedostateczne do stworzenia bazy porozumienia z narodami europejskimi.

Jednocześnie informacje i opinie różnych korespondentów i osób z poza koła Foreign Office stały się źródłem cennych wskazówek dla B. B. C., które od początku stało się najsilniejszym łącznikiem między Wielką Brytanią a Europą.

„Jest rzeczą paradoksalną, że gdy Wielka Brytania została zupełnie odcięta od Europy, zaczęła poznawać europejskie narody". (R. Crossman). Ale na to, ażeby Wielka Brytania mogła skutecznie oddziaływać na opinię publiczną krajów europejskich, musiała je otwarcie informować o swoich zamierzeniach i o każdorazowej zmianie kierunku w polityce. W tej sytuacji wyszła na jaw różnica zdań między Political Warfare Esecutive, której zadaniem było zorganizowanie służby informacyjnej dla okupowanej Europy, a Foreign Office, który był zdania, że polityka zagraniczna nie powinna być dyskutowana publicznie.

ALE tym razem wojna toczyła się nie o terytoria, tylko o idee. A w każdym razie broń ideologiczna posiadała niemniejsze znaczenie niż przemysł wojenny. Ta metoda walki była dotychczas przez Wielką Brytanię niepraktykowana, a tym samym jej polityka zagraniczna nie była zbudowana na podłożu ideologicznym. Jeszcze w ciągu trwania wojny zdarzyły się sytuacje świadczące o brakach ideologicznych polityki brytyjskiej, które ostatecznie zdecydowały po wojnie o jej porażce. Do najjaskrawszych przykładów należy moment wystąpienia generała Badoglia przeciwko Mussoliniemu, który to wypadek R. Crossman, przebywający wówczas w kwaterze Einsenhowera komentuje w następujący sposób:

„Upadek Mussoliniego — psychologicznie biorąc — był największą okazją z całej tej wojny. Gdy po nim nastąpiło powstanie, zorganizowane przez antyfaszystowskie elementy w północnej Italii albo podporządkowanie Włoch generałowi Badoglio — cała kampania włoska zostałaby nam oszczędzona. Ale upadek Mussolliniego zastał zarówno Foreign Office, jak i State Departament, zupełnie nieprzygotowane. Slogan „bezwarunkowa kapitulacja" wydawał się im wystarczający na każdą ewentualność. Upadek Mussoliniego został przyjęty w Whitehall jako zdarzenie zgoła niepożądane, gdyż stawiał rząd i Foreign Office wobec dylematu, kogo należy popierać: antyfaszystowską demokrację czy monarchię? Dopóki był zdania, że polityka zagraniczna nie mogła być dyskretnie odraczana."

ALE prawdziwy kryzys zagranicznej polityki brytyjskiej stał się widoczny dopiero po wojnie. Stosunek Wielkiej Brytanii do Niemiec stanowi najbardziej kompromitujący dowód tej porażki, która wynika z braku ideologicznych podstaw.

Przez pięć lat Wielka Brytania z wielkim nakładem poświęcenia i bohaterstwa całego narodu dążyła do pokonania nazistowskich Niemiec, ażeby w końcu, po odniesieniu zwycięstwa wykazać absolutny brak koncepcji, co z nim uczynić.

Sympatia do Niemców jako narodu, pokrewnego rasowo i cywilizacyjnie w połączeniu z tradycją polityki kolonialnej dała w rezultacie zjawisko „strefy brytyjskiej", z której nikt nie jest zadowolony: ani Anglicy, którzy nie mogą pojąć, dlaczego socjalistyczny rząd w Anglii nie może się zdobyć na reformy socjalne w podległej mu strefie, ani Francja i Polska, ciągle zagrożone nieustaloną sytuacją w Niemczech.

Polityka zagraniczna każdego kraju musi być rozpatrywana z płaszczyzny *jego* interesów. Ani Eden ani Bevin nie zamierzali prowadzić polityki partyjnej.

Rzecz jednak w tym, ażeby polityka zagraniczna była wypracowana przez rząd, a następnie przekazana do wykonania funkcjonariuszom Foreign Office, a nie była rezultatem Foreign Office, który często stoi w opozycji do zamierzeń rządu Labour Party.

Stąd owa zadziwiająca rozbieżność między wewnętrzną sytuacją Wielkiej Brytanii, a jej polityką zagraniczną.

„Przez nieudolność lub złą wolę Foreign Office nie robi użytku ze wszystkich dostępnych mu informacji, potrzebnych do oceny sytuacji, skutkiem czego Rząd podejmuje często fałszywe decyzje, ponieważ nie zna całokształtu sprawy". (R. Crossman).

Porażka polityki zagranicznej w Grecji, Palestynie i krajach arabskich budzi coraz większe niezadowolenie w Anglii.

„Nie ma rzeczy trudniejszej dla narodu imperialnego, jak własnymi siłami zlikwidować imperium, które stało się anachronizmem" — czytamy w doskonałym artykule na temat angielskiej polityki zagranicznej w „Statesman and Nation" (7.IX.1946).

POWOLI Wielka Brytania dochodzi do wniosku, że Imperium w obecnej formie nie da się utrzymać. Z chwilą, gdy Anglicy to zrozumieją, tradycja polityki Foreign Office straci swoją rację bytu.

Zarówno „względy moralne jak nasza sytuacja wymagają tego, ażebyśmy socjalizm zaczęli praktykować w polityce zagranicznej w równej mierze, co domowej" — czytamy na innym miejscu.

Z tych i podobnych wypowiedzi możemy oczekiwać, że zagraniczna polityka Wielkiej Brytanii w stosunku do wielu państw i wielu zagadnień ulegnie zmianom.

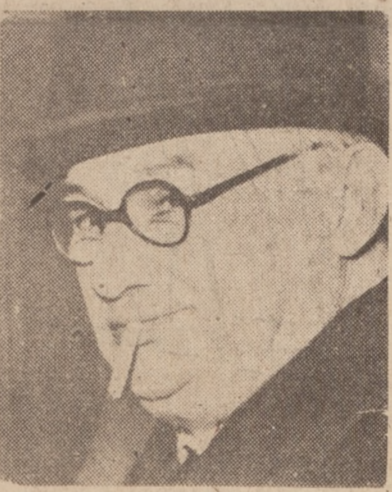
# MOSKWA 10. III. 1947
## Ci, którzy będą decydować o traktacie z Niemcami



*Związek Radziecki:*
**Mołotow**



*Stany Zjednoczone A. P.:*
**Marshall**



*Wielka Brytania:*
**Bevin**



*Francja:*
**Bidault**

# tak i nie

## Rząd Tymczasowy JKM

Ciekawe, co by powiedzieli Anglicy, gdyby na fali radia warszawskiego usłyszeli zwrot: „rząd tymczasowy Jego Królewskiej Mości", gdy mówi się o rządzie brytyjskim. Byliby prawdopodobnie niemile zaskoczeni i niezadowoleni. To też i my jesteśmy niemile zaskoczeni i niezadowoleni, że radio brytyjskie, na dodatek w audycjach nadawanych w języku polskim, mówi o rządzie polskim, jako o rządzie tymczasowym.

Już dawniej tę tymczasowość Anglicy skrupulatnie pielęgnowali, nazywając rząd polski rządem tymczasowym, wbrew postanowieniom Konferencji Jałtańskiej, która nadała mu nazwę Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej. Dzisiaj zaś używanie tego przymiotnika w stosunku do nowego rządu polskiego ma tyle sensu, co pisanie o premierze Attlee, że stoi on na czele Tymczasowego Rządu Brytyjskiego.

## Awantura w Siedlcach



**Ilustracja W. Rostowcewa do noweli Sławina w jednym z wydawnictw radzieckich.**

W poprzednich numerach „Tygodnia" drukowaliśmy ciekawą nowelę radzieckiego pisarza, Lwa Sławina. Wydała nam się ona interesująca nie tylko ze względu na fabułę, ale i na serdeczny stosunek rosyjskiego pisarza do społeczeństwa polskiego, na dużą jego znajomość oraz także z powodu wyrażonego w tym utworze obrazu psychicznego i moralnego społeczeństwa radzieckiego, jakże różnego od tego, który sobie część społeczeństwa wyrobiła na podstawie fałszywych wiadomości przedwojennych. Fabuła noweli oparta była na zdarzeniu mającym miejsce w polskim miasteczku S. zimą roku 1945.

Życie do noweli tej dopisuje ciąg dalszy. Pani Wisłowska, tłumaczka Sławina, otrzymuje od Ziuty Buczyńskiej, znakomitej tancerki, list, w którym czytamy m. in.: „Nie masz pojęcia, co się dzieje w Siedlcach z powodu noweli Sławina, którą tłumaczyłaś. Treść tej noweli — to autentyczny fakt, jaki miał miejsce w Siedlcach. Zabrakło tygodników na mieście, wszyscy tylko na ten temat mówią. i śmieją się z króla kiełbas".

W ten sposób życie odpowiada tym, którzy po przeczytaniu utworu Sławina wznosili okrzyki: „Ależ, to niemożliwe! Ależ to nieprawdopodobne!"

## Dobre obyczaje

W związku z naszym „nie" wypowiedzianym w poprzednim numerze pod adresem teatrów warszawskich w związku ze złym obyczajem nie przesyłania zaproszeń recenzyjnych dostaliśmy list następujący:

Szanowny i Kochany „Tygodniu!"

Jesteśmy bardzo zawstydzeni i zmartwieni złą notą, jaką pt. „Niedobre obyczaje" słusznie otrzymaliśmy (w nr 9 (33) z dnia 2.III. 47.

Oświadczamy uroczyście, że gaffa, jaką popełniliśmy, wcale nie wypływa z „dziwnych obyczajów powojennych", ani ze złej woli, ani ze złego wychowania. Jedynie i wyłącznie okres naszego pączkowania, w którym mieliśmy dużo różnych trudności i kłopotów, wpłynął otępiająco na naszą administrację, za którą bardzo serdecznie przepraszamy i poprawę natychmiast obiecujemy.

Ponieważ list nasz wypływa z szczerej sympatii dla „Tygodnia", a nie z żadnych handlowych pobudek, przeto prosimy powrócić nas na swoje wielce szanowne łono serdeczności i puścić nam naszą naprawdę dużą gaffę w niepamięć.

Racz przyjąć Wielce Szanowna i Kochana Redakcjo wyrazy poważania oraz serdeczności od całego zespołu artystycznego, administracyjnego i technicznego.

(—) Tadeusz Olsza
(—) podpis nieczytelny

Ten list, który otrzymaliśmy z Teatru Muzycznego, dowodzi, że dobre obyczaje mogą z łatwością zastąpić złe,

## Dramat Tulonu

Przed jednym z trybunałów francuskich rozpocznie się wkrótce rozprawa przeciw admirałowi de Laborde, który w okresie, gdy sojusznicy zajęli północną Francję (r. 1943), a Niemcy całą Francję, zatopił resztki śródziemnomorskiej floty francuskiej w porcie Tulonu. Admirał de Laborde miał wszelkie szanse wyprowadzenia floty z portu, nie uczynił tego jednak w poczuciu przesadnej lojalności dla marszałka Petaina, zamiast działać w poczuciu spełnienia obowiązku wobec Francji. Za te błędy admirał de Laborde odpowie obecnie przed sądem.

## Arcyzdrajca

Francuskim arcyzdrajcą, większym zapewne od Lavala był w okresie okupacji niemieckiej hr. Fernand de Brinon. Rozwijał on ożywioną działalność na stanowisku prezesa towarzystwa przyjaźni francusko - niemieckiej, a następnie pełnomocnika rządu Vichy w okupowanym Paryżu. Jego pomysłem była akcja t. zw. „releve nationale" czyli po prostu wymiany francuskich jeńców wojennych na dobrowolnych robotników, którzy musieli wyjeżdżać do Niemiec na roboty. Niemcy korzystali w całej pełni z tej wymiany, zwalniając niewielkie grupy starszych i niezdolnych do pracy jeńców, inwalidów, a zabierając z Francji na roboty kwiat młodzieży francuskiej.

Całej tej akcji patronowali Laval i de Brinon, co do którego istnieje silne podejrzenie, że był po prostu na żołdzie niemieckim.

## Angielskie podziemie

Poważne zaniepokojenie budzi w Wielkiej Brytanii wielka armia dezerterów angielskich i amerykańskich, których liczba wynosi podobno ponad 25.000. Jest to formalna armia podziemna, żyjąca nielegalnie i zdobywająca środki życia w ciągłych napadach i grabieżach. Stanowi ona wielkie niebezpieczeństwo dla porządku publicznego i War Departament czyni wszystko, by zwalczyć plagę.

Ponieważ obławy nie dawały należytych rezultatów, War Departament (ministerstwo wojny) wezwało ostatnio dezerterów do ujawnienia się, przyrzekając im pobłażliwość. Ale i to wezwanie nie odniosło wielkiego skutku, ponieważ wielu dezerterów posiada na swym sumieniu poważne przestępstwa, za które obawiają się kary. Największa liczba dezerterów trudni się przemytem, wyrządzając kolosalne szkody skarbowi państwa.

Podziemie angielskie, żyjące bez dokumentów, bez kart żywnościowych daje sobie radę w lesie wielkomiejskim, lub na słabo zaludnionych wybrzeżach, skąd czyni wyprawy morskie po przemyt.

## Wybryk

Wolność, z jakiej korzystają w wykonywaniu swych czynności korespondenci zagraniczni w Polsce, sprowadza ich czasem na manowce i powoduje pewne wybryki z ich strony. Jeden z korespondentów brytyjskich w pogoni za sensacją zdołał się w niewytłumaczony sposób dostać do więzienia i zrobić tam nawet zdjęcia fotograficzne. Został jednak zatrzymany, lecz po krótkim czasie wypuszczony na wolność, ba nawet — o dziwo — zwrócono mu filmy.

Czy możemy sobie wyobrazić podobną sytuację z korespondentem polskim w Anglii?



rys. Jerzy Zaruba

— Dlaczego płaczesz?
— Bo wszyscy na mnie mówią mała i mała!
— Nic się nie martw. Przyjdzie czas, że będziesz dorosłą, prawdziwą Konstytucją.

## Reforma rolna w Anglii?

Parlament brytyjski rozważa obecnie projekt ustawy o reformie ustroju rolnego. Rząd Labour Party zamierza osiągnąć poprawę bytu dzierżawców rolnych i pewnej kategorii drobnych rolników, przez rygorystyczną kontrolę zapoczątkowaną w czasie wojny. Nadto projekt ustawy ogranicza prawo usunięcia dzierżawców i przewiduje ułatwienia dla robotników rolnych, pragnących nabyć grunt na własność. Nie jest to w żadnym wypadku posunięcie odpowiadające naszemu pojęciu reformy rolnej.

Projekt zawiera jednak przepis, który wywołał burzę protestów wśród konserwatystów. Rząd ma otrzymać prawo nabywania gruntów rolnych i zamierza zarządzać nimi we własnym zakresie. Podobno zacietrzewieni wielcy właściciele rolni mówią już, że jest to pierwszy krok do wprowadzenia „kołchozów" w Anglii.

## W cichej Belgii

Mała Belgia wsławiła się bezpośrednio po wyzwoleniu tym, że zamknęła wszystkich współpracowników i konfidentów Gestapo w klatkach ogrodów zoologicznych. Było to jednak już bardzo, bardzo dawno...

Ostatnio w spokojnym i zamożnym kraju rozpoczęła się ożywiona propaganda za „łagodnym" kursem wobec kolaboracjonistów, a to zarówno tych, którzy na współpracy z Niemcami zrobili majątki, jak i tych, którzy po prostu wysługiwali im się. Tych ostatnio było szczególnie wielu wśród ludności flamandzkiej. Ostatnim akordem tej akcji były napisy na murach domów Brukseli głoszące: Amnistie! of bloed voor bloed! (Amnestia, albo krew za krew).

## Kto będzie następcą Trumana

Jeszcze osiemnaście miesięcy dzieli Stany Zjednoczone od daty następnych wyborów prezydenckich, ale już obecnie odbywa się ożywiona zakulisowa akcja w sprawie ustalenia przyszłych kandydatur. Szczególnie ożywiona jest działalność partii republikańskiej, która po ostatnim zwycięstwie liczy na sukces swego kandydata. Wymieniani są: Dewey, gubernator Nowego Jorku, który uległ w ostatnich wyborach jako kontrkandydat Roosevelta, znany senator Vandenberg i senator Stassen, wyłamujący się nieco z tradycyjnej linii politycznej, zwróconej przede wszystkim przeciwko światu pracy. Poważne szanse ma również senator Taft, który rad byłby zostać drugim prezydentem, noszącym to nazwisko. Za kulisami straszy jeszcze wojskowa kandydatura gen. McArthura. Podobno demokraci zamierzają lansować obecnego ministra spraw zagranicznych, gen. Marshalla.

W ogóle jest obecnie wielka moda na wojskowych. Nawet Eisenhower i gen. Bradley są przedmiotem spekulacji politycznych.

## Wobec Hiszpanii

Na ostatniej sesji Ogólnego Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych, odbytej w Nowym Jorku, zapadła kompromisowa uchwała domagająca się odwołania z Madrytu wszystkich akredytowanych ambasadorów i posłów z frankistowskiej Hiszpanii. Warto się obecnie przyjrzeć wykonaniu tej uchwały. Spośród 55 państw, będących członkami Narodów Zjednoczonych, 22 kraje, w tej liczbie Polska, nie utrzymują stosunków dyplomatycznych z faszystowską Hiszpanią, a 13 innych nie ma w Madrycie ani ambasadorów, ani ministrów pełnomocnych. Z pozostałych 20 jedynie Wielka Brytania, Holandia i Liberia rzeczywiście odwołały swych przedstawicieli dyplomatycznych. Kolumbia, Urugwaj i Panama zawiadomiły po prostu Generalnego Sekretarza Narodów Zjednoczonych, że przyjmują do wiadomości zalecenia. Republika Dominikańska oświadczyła, że zastanowi się nad wykonaniem rezolucji, a San Salvador zastrzegł sobie prawo rozważenia swego stanowiska. 11 państw nie potwierdziło nawet odbioru memorandum Stanów Zjednoczonych, a ostatnie z liczby 55, Argentyna wysłało wkońcu stycznia nowego ambasadora, który złożył gen. Franco swoje listy uwierzytelniające!

# POLONIA AMERYKAŃSKA

## I. Jej oblicze

# JEJ OBLICZE JEJ SERCE JEJ POLITYKA

TRZEBA zacząć od tego, że właściwie nic nie wiemy o amerykańskiej Polonii. O Stanach Zjednoczonych pisze się u nas często i dużo. Wiele wiemy o Hollywoodzie. Czytamy obszerne sprawozdania z niezmiernie ważnych posiedzeń ONZ, znamy z licznych reprodukcyj Biały Dom, New York, Niagarę, tylko o Polonii — jak nożem uciął.

To trudny temat!

Czy można napisać *dobrze* o Polonii, skoro — jak wiadomo — polityka Polonii w stosunku do Polski różni się tylko niewiele od polityki Raczkiewicza, Arciszewskiego i im podobnych? Czy taka pisanina zostanie dobrze przyjęta? To śliski temat!

Czy można napisać źle o Polonii, skoro otrzymało się dopiero dwudziestą ósmą paczkę od kochanego wujka z Buffalo i byłoby przecież ohydną głupotą narazić się na zerwanie tej jedynej nici, łączącej demokratyczną Polskę z kapitalistyczną Polonią? To temat ponad siły!

CÓŻ dziwnego, że najlepszym wyjściem zdaje się być milczenie? Przecież w ten sposób płyną do Polski paczki z Ameryki, a w nich nylony, płynie „Caritas", płyną konie, często nawet dolary. A więc milczenie jest naprawdę złotem i po co martwić się, że w ten sposób Polonia staje się dla nas czymś przeogromnie dalekim i obcym? Bo te dary spadają na nas jakby z innej planety. To jakiś podarek w naturze, którym dobry Bóg obłożył na naszą korzyść mieszkańców Marsa. I nie znamy podatników i oni nas nie znają. Lecz czy w tych warunkach jeszcze długo będą płynąć podarki? A jeżeli w tych mieszkańcach obcej planety biją gorące serca polskie, to czy zrażone milczeniem bić wreszcie przestaną? Czy milczenie nie przyspieszy tego procesu? Przecież musimy zdawać sobie sprawę, że oni są tam sami, że pływają w amerykańskim morzu, że bez łączności z nami fale amerykanizacji trafiają na słabszy opór i większe wyrywają szczerby. Naszym obowiązkiem i tylko naszym jest wiedzieć wszystko o Polonii, bo tylko wówczas możemy prowadzić z nią handel zamienny. Za każdy funt jej dobrego serca odpłacimy funtem polskiego ducha.

BRAK wiadomości sprawia, że już nie zdajemy sobie sprawy, czym jest dzisiejsza Polonia. Bo przecież nie jest to już ta chłopska masa, która na przełomie XIX wieku opuściła Polskę i w pogoni za chlebem wywędrowała aż na drugą półkulę. To już nie jest ten biały murzyn, który wylądował w Stanach, niemy, podpisujący się krzyżykiem, bez ojczyzny i tylko z wymiętoszoną kapotą na grzbiecie. To już nie jest ten polski farmer, który poza swoją parafią, swoim księdzem, organistą i szkółką parafialną nie zna[illegible]kiego świata. Dzisiejsi Polacy w Stanach Zjednoczonych, a raczej — jak sami siebie nazywają — Amerykanie polskiego pochodzenia, odkryli wreszcie Amerykę i wyrównują teraz stracony teren i stracony czas.

Nie jest to łatwe, ale to się osiąga. Dawniej Stany Zjednoczone były krainą fantastycznych karier życiowych i fantastycznych możliwości. Wystarczył życiowy spryt i to, co się zowie amerykańskim rozmachem, ażeby zdobyć miliony i szczęście. Karierę zaczynało się więc od sprzedawania gazet.

NAPISAŁ JERZY KIRCHMAYER

To było dawniej, dzisiaj jest inaczej. Odkąd rozwój techniczny stał się kołem popędowym Stanów, odkąd produkcję oparto na naukowej podstawie, odkąd naukowa organizacja pracy stała się elementarnym warunkiem wielkiego byznesu, odtąd o karierze życiowej zaczął rozstrzygać dyplom wyższego zakładu naukowego, a w każdym razie solidne, fachowe wykształcenie.

Nasza Polonia musiała dostosować się do tego, jeżeli nie miała pozostać w roli białego murzyna. Toteż dzisiaj Polonia pcha swe dzieci do szkół i nie żałuje na to dolarów. Polska młodzież stanęła do wyścigu ze swymi amerykańskimi towarzyszami. Bliski jest czas, że już nie my Polonii, lecz Polonia nam będzie imponować wysokimi kwalifikacjami i wysokim wykształceniem. Tym bardziej, że nasza młodzież uczy się w bez porównania gorszych warunkach szkolnych, materialnych i fizycznych.

NIE jest bowiem dzisiejszy Amerykanin polskiego pochodzenia tą nędzną chudziną, która kiedyś wylądowała w Stanach z jedynym majątkiem — szkaplerzem na szyi. Już po pierwszej wojnie światowej wzmógł się dobrobyt Polonii. Po drugiej wojnie jest jeszcze lepiej, bo amerykański standart życia wzrósł jeszcze bardziej. To, co się dzieje za „wielkim stawem", odbiegło już bardzo daleko od europejskich stosunków. To często jest dla nas nie do wiary.

Oto murzyn z czerwoną chorągiewką w ręku reguluje ruch na odcinku autostrady, którą naprawia się przy użyciu jakichś nieznanych nam maszyn. Obok stoi dobra, pięknie utrzymana limuzyna. Murzyn przyjechał nią do swojej pracy. Oto robotnicy rozładowują wagony towarowe na stacji. Obok stoi kilka osobowych samochodów. To są samochody tych robotników. Oto szofer przyjeżdża na swoją codzienną służbę do polskiego konsulatu w New Yorku. Samochód ten jest lepszy od konsularnego. Oto średnio zamożny właściciel składu mebli w stanie New Yersey. Piękna willa w ogrodzie nad jeziorem, luksusowe urządzenie, wszystko zautomatyzowane, w garażu dwa piękne samochody osobowe — jeden żony, drugi męża. Po co mają się kłócić? Oto służąca w bogatym domu amerykańskim — 180 dolarów miesięcznej pensji, osobny pokój, osobna łazienka, oczywiście pełne utrzymanie. Oto pierwszorzędny cukiernik z Łodzi. Zarabia 40 dolarów dziennie i zjada szczęście dużą łyżką.

A przejedźcie się ich kolejami, samolotami komunikacyjnymi, pobądźcie w ich hotelach, restauracjach i kinach, zajrzyjcie do miejskich bibliotek, do banków, do laboratoriów! Lepiej zresztą tego nie robić, bo pocóż zalewać się żółcią zazdrości? Pocóż usprawiedliwiać się, że przecież w ciągu dwóch wojen światowych nie spadła na nich ani jedna bomba i ani jeden nie zawadził o nich pocisk? Pocóż tłumaczyć, że kiedy wojny rujnowały Europę i Europejczyków, to te same wojny były kołem rozpędowym amerykańskiego rozkwitu. Wystarczy zrozumieć, że w takich warunkach żyje i pracuje amerykańska Polonia i dlatego uzyskała dogodne warunki prześcignięcia nas na każdym polu. Z tych warunków Polonia korzysta dzisiaj na wielką skalę.

NIE wyobrażajmy więc sobie naszych rodaków zza morza jako ludzi prostych i głupich, którym szczęśliwy zbieg okoliczności powpychał kieszenie dolarami.

Amerykanie polskiego pochodzenia doszli do dolarów ciężką i wytrwałą pracą, a skoro je posiedli, używają ich jak mogą najlepiej — dają swym dzieciom wysokie wykształcenie i wysokie kwalifikacje. Toteż byłoby zbyt powierzchowne, sądzić ich według samochodów, klubowych foteli i nylonów. Przyjrzyjcie się im bliżej — zobaczycie zawzięcie uczące się dzieci i niezmiernie zawzięcie pracujących rodziców.

Czy słyszycie tętent? To nasza młodzież, tę europejską, tę polską „z wrodzoną inteligencją" dogania właśnie polska młodzież ze Stanów Zjednoczonych. I uwaga! — bo wielki, wielki jest jej rozpęd.

---

## 10 KANDYDATUR DO NAGRODY „TYGODNIA"

Według prowizorycznych obliczeń wyników głosowania Czytelników lista 10 kandydatur do nagrody „Tygodnia" za najlepszą książkę polską wydaną w latach 1945—46 przedstawia się jak następuje:

**Jerzy Andrzejewski — Noc**
**Kazimierz Brandys — Miasto niepokonane**
**Tadeusz Breza — Mury Jerycha**
**Jan Dobraczyński — W rozwalonym domu**
**Stanisław Dygat — Jezioro Bodeńskie**
**Arkady Fiedler — Dywizjon 303**
**Jarosław Iwaszkiewicz — Stara cegielnia**
**Kamiński (Górecki) — Kamienie na szaniec**
**Janusz Meissner — Żądło Genowefy**
**Ksawery Pruszyński — Droga wiodła przez Narvik**

Jarosław Iwaszkiewicz, jako członek Sądu Konkursowego, wycofał swoją kandydaturę. Wobec powyższego do listy tej zaliczyć należy książkę, która z kolei otrzymała największą ilość głosów, jest to:

**Wojciecha Żukrowskiego — W kraju milczenia.**

Sąd Konkursowy zbierze się na zaproszenie redakcji „Tygodnia" w połowie marca rb. Na podstawie regulaminu nagrody sąd przyznać może całą sumę jednemu z autorów wyżej wymienionych lub też nagrodę podzielić między kandydata Czytelników i autora, który przez Czytelników zgłoszony nie został

**Maria Jerużalówna**

# GEHENNA DZIECI Z ZAMOJSZCZYZNY

*(Dokończenie z Nr 9-go)*

Następnego dnia z samego rana zjawiła się w Kwarantannie komisja lekarska niemiecka i polska w asyście grupy gestapowców. Nieopisany strach ogarnął dzieci, gdy usłyszały język niemiecki. Wybuchały płaczem i kryły się pod koce, nie pozwalając się badać, wobec czego pozwolono przeprowadzić badania lekarzom polskim, którzy stwierdzili tyfus, zapalenie płuc, odrę, jaglicę, świerzbę, katar kiszek i szereg innych groźnych chorób. Doszło przy tym do ostrej sceny między dowódcą grupy gestapowców a naczelnym lekarzem niemieckim, który określił doprowadzenie dzieci polskich do takiego stanu jako barbarzyństwo, kompromitujące w oczach kulturalnego świata cały naród niemiecki. Lekarz ten został w dwa tygodnie później wysłany na front, ale wynikiem jego interwencji, było sprowadzenie większej ilości dzieci, wysiedlonych z Zamojszczyzny i rozmieszczenie ich po szpitalach warszawskich.

Komisja lekarska wraz z gestapowcami przebywała opisanego wyżej dnia na terenie Kwarantanny do godz. 14. Na szczęście nasz przyjazd z partią 16 dzieci nastąpił w godzinach późniejszych, wobec czego nikt z nas nie został pociągnięty do odpowiedzialności, a potem zdołaliśmy zmylić ślady.

Koleje losu sprowadzonych do Warszawy dzieci zamojskich były rozmaite. Część zmarła na skutek chorób, nabytych w okresie poniewierki, wiele oddano osobom prywatnym na wychowanie, a resztę umieszczono w zakładach opiekuńczych, co zwłaszcza dotyczyło rodzeństw, których nie można było dzielić.

Wszelako męczeństwo ludności, wysiedlonej z Zamojszczyzny, nie skończyło się na wyżej opisanych faktach. Pociągi z ludźmi, a w szczególności ze starcami i dziećmi, wędrowały nadal w pierwszych miesiącach roku 1943 po ziemiach wschodniej Polski bez przeznaczenia. Transporty, w których większość ludzi wymarzła, kierowano do Oświęcimia, gdzie zwłoki palono w krematoriach. Znany nam jest chociażby transport, liczący około półtora tysiąca ludzi, z którego 400 osób pomieszczono w Kałuszynie, 300 w Mrozach, a około 300 rozrzucono po wsiach w okolicy Cegłowa. W porozumieniu z Radą Główną Opiekuńczą zaczęły powstawać Koła Opiekuńcze nad ludnością, wysiedloną z Zamojszczyzny. Jednym z nich, ale rozwijającym najwyższą działalność, było Spółdzielcze Koło Opiekuńcze, zorganizowane na terenie Centrali „Społem" w Warszawie. Powołano do współdziałania oddziały „Społem" z terenów, gdzie znajdowali się wysiedleni, a ponadto wszystkie większe oddziały z terenów dalszych. Pracownicy opodatkowali się dobrowolnie 1% od poborów na rzecz wysiedlonych. Oddziały służyły pomocą w naturze. Dzięki tak zdobytym środkom rozpoczęto walkę z nadmierną śmiertelnością, głodem, chorobami, i zawszeniem wśród skupisk wysiedleńców. Dla dzieci organizowano szkoły i kolonie w sosnowych lasach, gdzie zdrowie wstępowało w organizmy razem z oddechem. Dostarczano środków leczniczych i dezynfekcyjnych. Działalność Spółdzielczego Koła Opiekuńczego trwała do wybuchu powstania warszawskiego i jest jedną z najpiękniejszych kart patriotycznych poczynań spółdzielczości polskiej. Ale Armia Czerwona w w czerwcu 1944 r. oswobodziła ziemie położone nad Wisłą, wysiedleńcy ruszyli natychmiast w drogę powrotną do swych gospodarstw, aby stać się ponownie twórczym elementem w gospodarce odrodzonego państwa polskiego.

Powyższy fragment wyjęty jest z Kalendarza Spółdzielczego na 1947 r., który jest do nabycia w cenie 50 zł we wszystkich księgarniach spółdzielczych, w miejscowych oddziałach „Społem" oraz w oddziale księgarskim „Społem", Łódź, ul. Piotrkowska 5.

*Z placówek wytwórczych „Społem"*

# Palarnia kawy w Łodzi

Z kolei odwiedziliśmy palarnię kawy i Wytwórnię Namiastek Kawowych „Społem" w Łodzi, ul. Brzozowa 11/15, tel. 172-14.

Palarnia uruchomiona została w dniu 19 lutego 1945 roku i w chwili obecnej zatrudnia 30 pracowników. Produkuje znaną ze swej dobroci namiastkę kawy, wyłącznie na potrzeby placówek handlowych „Społem", poza tym palarnia, na zlecenie Państwowego Zjednoczenia Surogatów Kawowych i Oddziałów „Społem", przerobiła około 200.000 kg oryginalnej kawy surowej. Obroty palarni w 1945 roku wynosiły 6 milionów złotych a w roku ubiegłym przekroczyły już 10 milionów złotych.

W końcu ubiegłego roku palarnia otrzymała przydział cennych surowców, a przede wszystkim cykorię. Pozwoliło to na podwyższenie jakości produkowanej namiastki.

Kierownictwo palarni, spoczywające w ręku p. Kazimierza Borowskiego, przewiduje dalszy rozwój tej placówki, której działalność już dziś posiada doniosłe znaczenie dla naszego życia gospodarczego. (a).

# Zainteresowanie spółdzielczości spedycją międzynarodową

Wobec dużego udziału spółdzielczości polskiej w imporcie towarów z zagranicy oraz niewielkiego ale stale wzrastającego udziału w eksporcie, Związek „Społem" postanowił zorganizować w ramach Głównego Działu Transportowego — dział spedycji międzynarodowej.

W Gdyni istniał dotychczas w ramach Związku „Społem" dział przeładunków morskich, który zajmował się przeładunkiem i magazynowaniem nadchodzących drogą morską transportów U. N. R. R. A. Obecnie dział ten został zreorganizowany i przekształcony na Oddział Spedycji Morskiej. W ten sposób spółdzielczość będzie posiadać własne placówki zajmujące się całokształtem spedycji międzynarodowej, a w szczególności spedycji morskiej. Umożliwi to spółdzielczości dalszy rozwój kontaktów gospodarczych z zagranicą.

# Fabryka makaronu w Warszawie

Przy ul. Kawęczyńskiej Nr 9 w Warszawie na Pradze znajduje się fabryka makaronu „Społem" (tel. Praga Nr 13).

Zabezpieczona dla potrzeb naszego gospodarstwa narodowego jeszcze w połowie października 1944 r., w pierwszych dniach kwietnia 1945 roku rozpoczęła swoją działalność, pracując wówczas wyłącznie dla potrzeb zaopatrzenia naszego wojska. W roku 1946 fabryka, pracując nadal dla wojska, poczęła zaopatrywać i wolny rynek, na co przeznaczono 30% produkcji. Do tej pory jednak fabryka nie jest w stanie pokryć zapotrzebowania nawet handlu spółdzielczego.

Produkcja fabryki w 1945 roku wynosiła 50 ton miesięcznie. W roku 1946 osiągnięto 65 ton miesięcznie, a na rok bieżący preliminowano — 75 ton miesięcznie.

Urządzenia fabryki nie są, niestety, przystosowane do nowoczesnych wymagań produkcji. Poza tym podkreślić należy, że makaroniarstwo w Polsce cierpi na brak fachowców oraz walczy z brakiem odpowiedniego surowca, którego niestety w Polsce nie ma. Chodzi tu o t.zw. twardą pszenicę, o dużej zawartości kleju. Odpowiadają temu celowi najbardziej pszenice: sycylijska, Taganrog, Odesska, częściowo węgierska, a tych niestety — brak.

Warunki produkcji są wybitnie higieniczne a sama fabryka pod kierownictwem p. dyr. Adama Wielęborki, zatrudniająca już dziś 28-miu pracowników, znajduje się na drodze do dalszego rozwoju.

# „RZECZYWISTOSC"

## I. PODPAŁKA

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem dwie recenzje o „Rzeczywistości" Jerzego Putramenta, naszego obecnego posła w Szwajcarii — recenzję w „Robotniku" (Nr 41) pióra pana „G" i Ryszarda Matuszewskiego w „Kuźnicy" (Nr 7). I przypomniała mi się historyjka, którą opowiada Boy w swej książce „Znasz-li ten kraj". Jak wiadomo, Boy procesował się z „Czasem" krakowskim o samowolne skreślenie mu w artykule przez redaktora „Czasu" słowa „dziwka" — ze względu na „moralność publiczną". Oto fragmencik owej historyjki:

„Rozprawa się toczy — pisze Boy — w końcu adwokat **Czasu** wstaje, krząka i wygłasza wielką mowę. O Boże! Cóż za styl, cóż za frazesy, cóż za patos. Gdzie on się chował? W piśmie — wołał — które miało zaszczyt na swych łamach drukować Quo vadis mistrza Sienkiewicza, nie może być miejsca na koncepty kabaretowe godne **Zielonego Balonika...** A ja patrzałem tylko na niego i myślałem sobie: panie mecenasie, kiedy myśmy w **Czasie** robili **Zielony Balonik**, pana by tam może do przedpokoju nie wpuszczono".

Recenzenci „Rzeczywistości" podobni są potrosze do owego adwokata: cóż za styl, co za frazesy, co za patos! A przy tym, doprawdy, zupełna nieznajomość epoki i wypadków, które opisuje Putrament tj. dziejów tzw. „grupy Dembińskiego" i wydawania przez nią dwóch pism: „Poprostu" i „Karty", czyli burzliwych i pełnych fermentu czasów wileńskich między rokiem 1935 a 1937. Matuszewski pisze na przykład: „Żagary", „Karta", „Poprostu" — to kolejne tytuły pism, wydawanych przez zmienną nieco w swym składzie, ale zasadniczo z jednego pnia się wywodzącą grupę młodzieży wileńskiej". Nic podobnego. Przede wszystkim piero po zawieszeniu go przez wileński sąd okręgowy naprzód wychodziło „Poprostu" (w r. 1935 i 1936) i dowychodziła „Karta" (w r. 1936). „Poprostu" podpisywał w imieniu Komitetu Wydawniczego dr Henryk Dembiński. Jako wydawca „Karty" figurował Jerzy Putrament, a jako jej redaktor odpowiedzialny — Michał Szczytt (może to Szulc z „Rzeczywistości"?). Co się tyczy „Żagarów" — o, to stare dzieje: rok 1931 i 1932. „Żagary" nic właściwie wspólnego z „Poprostu" i „Kartą" nie mają. Był to „miesięcznik idącego Wilna, poświęcony sztuce", jak głosił jego podtytuł. Współpracowali w nim młodzi poeci i literaci (i od niego wzięli nazwę żagarystów), z których część założyła wprawdzie w kilka lat potem „Poprostu", ale część poszła też innymi drogami. Spośród tych literatów najznaczniejsi byli: ś. p. Henryk Dembiński, Stefan Jędrychowski, Czesław Miłosz, Jerzy Zagórski, ś. p. Teodor Buinicki, Jerzy Putrament, Tadeusz Byrski, Józef Maśliński i inni. Jak widzimy, nazwiska tych, co żyją, znane są dziś w Polsce, niektórych — głośne. Bo też to były bujne czasy wileńskie, pełne fermentu, jak powiedziałem, a z tego fermentu narodził się niejeden talent. Trzeba te czasy nieco znać. W okresie okupacji, korzystając w Warszawie z roczników pism wileńskich w Bibliotece na Koszykowej, pisałem swego rodzaju historię tych czasów (Znasz-li ten kraj?) jako człowiek, który był ich świadkiem. Ale mi się rękopisy spaliły w powstaniu.

Zapomniałem jednak nadmienić, kto był wydawcą „Żagarów" i nawet wymyślił tę nazwę, o której niekażdy może wie, co ona oznacza. Żagary — to szczapy wysuszone, używane do wzniecania ognia, „szakaliki", jak mówiono na Wileńszczyźnie, drzazgi, podpałka, głownie. Jest to stary polski wyraz gwarowy (żagiew), choć niektórzy językoznawcy utrzymują, że pochodzi rzekomo z litewskiego. Młodzież, zespolona w piśmie, miała być żagarami przyszłości: stąd podtytuł — „idące Wilno". Wszystko to było pomysłem Stanisława Mackiewicza (Cata), redaktora „Słowa" i on też był wydawcą „Żagarów" i podpisywał je jako taki, i „Żagary" stanowiły dodatek do „Słowa". Paradoks. Ale ówczesne życie wileńskie składało się z paradoksów (jakby powiedział Boy). I tenże Mackiewicz — jako „jurny sangwinik" Szatybełko (kto go pamięta, ten wie, że to dobre określenie) — wspomniany jest w „Rzeczywistości" Putramenta. Wydaje on tam dziennik pt. „Mowa", „subsydiowany przez sfery ziemiańskie", a walczący z wojewódzkim i sanacyjnym „Gońcem Kresowym" („Kurier Wileński"), redagowanym przez Potulicza. „Bezbarwny, rudorzęsy" (istotnie tak) Potulicz — to Kazimierz Okulicz, do którego przeszli częściowo żagaryści w roku 1932, po buncie przeciw Mackiewiczowi i wyłamaniu się Dembińskiego spod wpływów ks. prof. Waleriana Meysztowicza (obecnie w Rzymie przy Watykanie), który również wzmiankowany jest w „Rzeczywistości" jako „młody rozumny księżulo", reklamujący bohatera jej Jasińskiego (Dembińskiego). Załczywszy na jakiś czas przy Okuliczu nowe pismo p. n. „Piony — miesięcznik żagarystów", „buntownicy" pożegnali się bardzo kurtuazyjnie z Mackiewiczem (Szatybełką) zaraz w pierwszym numerze „Pionów" w artykule „Salutujemy Mackiewiczowi" (wiem, kto był jego autorem, ale nie powiem). Wszelako, jeśli tym pionącym głowniom za mało było miejsca pod opieką konserwatywnego acz jurnego szlagona Szatybełki, to pod nadzorem „wojewódzkiego" Potulicza groziło im po prostu zgaszenie. Więc po roku zwinęli swoje „Piony". Tu nastąpiła przerwa do r. 1935, do powstania „Poprostu". Możnaby powiedzieć, że te parę lat — to był okres pracy nad sobą żagarystów, ich „życia utajonego", doskonalenia się w nauce, składania doktoratów, podróży do Wiednia i do Paryża — słowem, okres gotowania się do skoku.

Przypominają mi się owe czasy — dziś już zamknięte jak karta historii — gdy czytam „Rzeczywistość" i mimowoli powtarzam słowa poety: „takie były zabawy, spory w one lata wśród cichej wsi litewskiej..." Bo i zabawy były też — obok myśli i czynów. Sam autor „Rzeczywistości"... Mój Boże! Tylko proszę nie myśleć, że się chcę pochwalić. Podnoszę ten drobiazg, jako dowód, że mam niejakie prawo pisać o „Rzeczywistości" i nawet ocenić ją. Sam jej autor — toż to mój uczeń. Uczyłem go literatury i historii, podobnie jak Bujnickiego. Potem pisywał w dodatku literackim „Słowa", który ja redagowałem. Ach, byliśmy wówczas wszyscy młodzi. A jeśli chodzi o „Poprostu" (w powieści Putramenta zamienia się ono w czasopismo pt. „Rzeczywistość), chociaż nic mię z tym pismem, prócz osobistych znajomości nie łączyło, byłem jedynym literatem wileńskim, który, po jego zamknięciu, napisał o nim tzw. ciepłe wspomnienie pt. „Podzwonne" w „Wiadomościach Literackich" Nr 20 z dn. 10 maja 1936. Może tego wszystkiego, co napisałem, jest zadużo, myślę jednak, że bez historycznego podmalowania tła niesposób zrozumieć powieści Putramenta.

**Jerzy Wyszomirski**

# Film TYGODNIA

## AMNESTIA



Zbigniew Piotrowski, członek WiN-u „Korwin" ogląda zaświadczenie o ujawnieniu się.



Ludzie podziemia czekają w kolejce do Komisji, aby się ujawnić.

## NARCIARSKIE MISTRZOSTWA POLSKI



Stefan Dziedzic (HKN — Zakopane) mistrz Polski.
(Fot. E. Brzozowski).





Piękny uśmiech i narty... Danuta Schile i Ewa Bujakówna.
(Fot. E. Brzozowski).

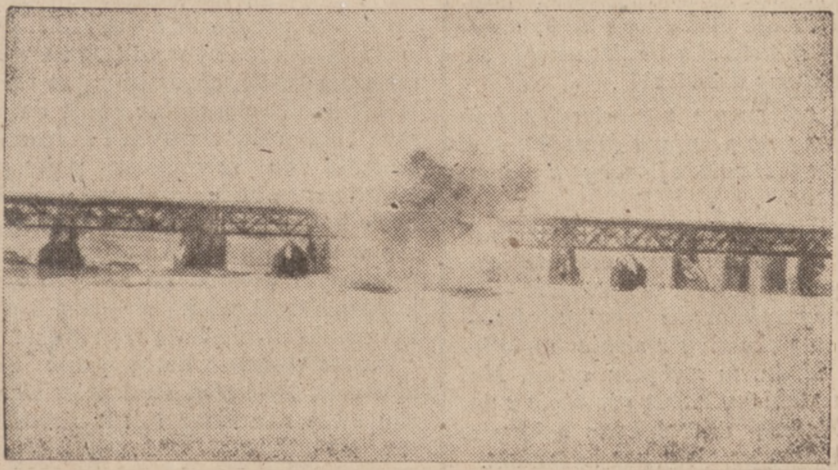


Fenomenalny skoczek Jan Kula leci jak ptak.

## W WALCE Z MROZEM, LODEM I ŚNIEGIEM



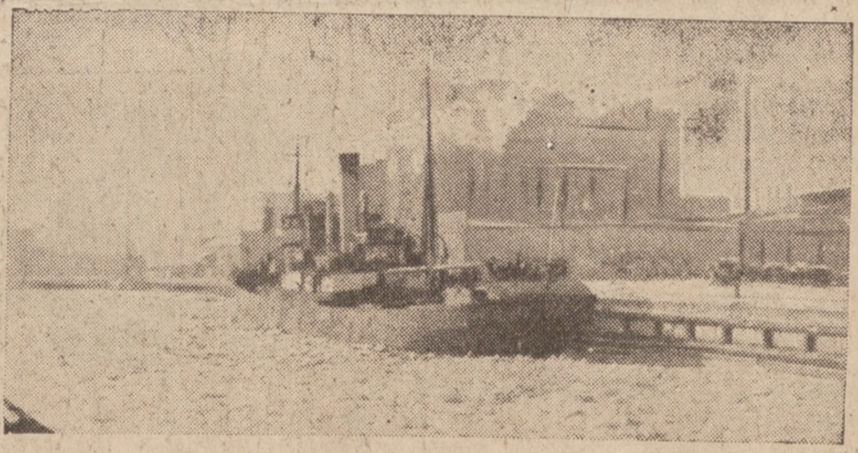
Por. saperów Eugeniusz Zygier zasypuje założony ładunek materiałów wybuchowych.
(Fot. Film Polski).



Wybuch
(Fot. Film Polski).




„Stalowa Wola" unieruchomiona przez lody przy Dworcu Morskim w Gdyni.
(Fot. Film Polski).



Okręty stoją tam, gdzie je lód zaskoczył. Na zdjęciu parowiec szwedzki uwięziony w porcie gdyńskim. (Fot. Film Polski).

**Władysław Pawlak**

# PARYŻ PIJE PIWO

**(Korespondencja własna „Tygodnia")**

*Paryż w lutym*

Zima położyła swoją ciężką łapę również na stolicy Francji. Śnieg i przejmujące zimno powiększyły liczbę trosk Francuzów, choć skutki nie są tak tragiczne, jak w Anglii. Przybysza z Polski witają zazdrosnymi słowy:

— Pan jest Polakiem?! Wy jesteście szczęśliwi. Macie węgiel!

Bez względu na to, czy przybysz jest dziennikarzem, urzędnikiem czy zwykłym podróżnym, usłyszy propozycję, wypowiadaną nawpół żartobliwie, nawpół serio z owym charakterystycznym dla Francuzów wdziękiem:

— Może pan przyjmie ode mnie zamówienie, choćby na dwie tony węgla.

Paryż nie marznie, ale jest wyziębiony do szpiku kości. Reflektory, neony i gęste szpalery latarń ulicznych „miasta świateł" należą jeszcze do przeszłości, a przez dwa dni w tygodniu każdy dom paryski pozbawiony jest elektryczności. A jednak sytuacja gospodarcza Francji doznała poważnej poprawy. Fabryki pracują, a robotnik i rzemieślnik wznoszą cegła po cegle gmach nowego dobrobytu francuskiego.

Wystawy luksusowych sklepów na wielkich bulwarach pełne są zbytkownych towarów, nęcących oko barwą i elegancją wykonania. Francuzi przechadzają się, zatrzymują przed sklepami, chłoną estetyczne wrażenia i uśmiechają się ironicznie na widok maleńkich kartek z astronomicznymi cenami. Idą dalej. Nigdy nie kupowali w magazynach, obliczonych na zaspokojenie potrzeb międzynarodowych snobów.

W wielkich domach towarowych „Bon Marché" czy „Galéries Lafayette", w setkach małych sklepów rozrzuconych po wszystkich dzielnicach Paryża, kupujący pokazują się w niewielkiej liczbie. Sprzedawcy wzdychają ciężko.

Towarów jest dużo, za kilka miesięcy będzie ich jeszcze więcej, ale nabywców jest mało. Nie chcą, czy też nie mogą kupować. Nawet towary, wydawane na kartki, nie znajdują zbyt licznych amatorów. Robotnik i urzędnik francuski, tworzący wielką rzeszę konsumentów, skrupulatnie oblicza swoje skromne zarobki i czeka.

Może za kilka miesięcy spadną ceny. Zapoczątkowana przez rząd Bluma akcja zniżki nie dała większych rezultatów. Koszty utrzymania są nadal bardzo wysokie, ale „szok psychologiczny", który nie bardzo wzruszył kupców, podziałał na konsumenta. Spodziewa się naprawdę, że cierpliwość jego zostanie wynagrodzona, że za kilka miesięcy zdobędzie upragnione przedmioty za cenę ,odpowiadającą jego rzeczywistym możliwościom płatniczym.

Byłem w Paryżu w dniu strajku protestacyjnego niższych funkcjonariuszy państwowych i samorządowych. Już w południe zbierały się przed Ministerstwem Gospodarki Narodowej i na punktach zbornych ożywione grupy. Punktualnie o godzinie w pół do piątej stanęło metro i autobusy, zamilkły telefony, urzędy pocztowe zamknęły swoje podwoje. Wielkie miasto zamarło na kilka godzin. Tylko na ulicach, którymi przeciągali demonstranci, tętniało życie. Lud paryski życzliwie witał strajkujących, a szczególnym powodzeniem cieszyła się grupa policjantów. Nie występowali przecież w charakterze przedstawicieli władzy, lecz jako towarzysze pracy. Przedmiotem walki nie była i nie jest w gruncie rzeczy taka czy inna podwyżka płac, lecz zagwarantowanie minimum egzystencji. Demonstranci zdawali sobie dokładnie sprawę, że większą korzyść przyniesie im zwalczenie spekulacji, szalejącej szczególnie na rynku żywnościowym i ogólna zniżka cen, niż nawet największa podwyżka płac, która zagrozi równowadze finansowej franka.

W tych warunkach trudno znaleźć beztroskę w Paryżu. Szukałem jej rzetelnie, jak każdy spragniony rozrywki przybysz z obcego kraju. Nie ma jej na wielkich bulwarach. Nieliczni zasobni Amerykanie są przysłowiową jaskółką, która sama jedna nie przynosi wiosny. Nie ma jej wśród pogaszonych świateł Montmartru, ani wśród ciszy wyludnionego Montparnassu. Wędrowałem po dzielnicach robotniczych, po zaułkach Belleville. Zatroskane gosposie przed sklepami i straganami przekładały z ręki do ręki papierowe banknoty, jak ongi metalowe sous, tylko wargi były mocniej ściśnięte, a twarze zorane przedwczesnymi zmarszczkami. Przez wąską gardziel ubogiej uliczki przeciskał się wóz propagandowy organizacji robotniczych. Głośnik wyrzucał wezwania do niezrzeszonych robotników, do chałupników, pozbawionych ochrony związkowej, by bronili swych praw i zdobyczy, by wstępowali w zorganizowaną szeregi.



Było sobotnie południe. Wstępowałem do małych „bistro", w których siedziało po dwóch — trzech, czasem pięciu robotników. Dyskutowali z ożywieniem, pokrzepiając się kuflem piwa. Szedłem dalej. Z podziemi dolatywały dźwięki jazzu. Zajrzałem do pełnej sali. To młodzież robotnicza szukała rozrywki w tańcu. Było głośno i gwarno. Na stolikach królowało piwo. Nie dziwiłem się temu. Wina jest mało i jest drogie. Można je znaleźć na czarnym rynku w dowolnej ilości. Robotnik, kupujący u potajemnych przekupniów masło i mięso, musi się liczyć z każdym groszem. Sądząc z miny pijących piwo, nie schlebiało ich podniebieniu, ale kufel piwa, „une blonde" jak je nazywają, kosztuje tylko sześć franków, a ćwiartka najtańszego wina aż czterdzieści.

Przejmujący wiatr nie powstrzymuje Paryżan od spacerów. Mężczyźni są przyzwoicie ubrani. Odzież męska mniej wrażliwa na wymagania mody, choć służy już wiele lat, pobiła eleganckie stroje damskie. Legion wytwornych Paryżanek stopniał do rozmiarów plutonu, a milionowa armia szykownie ubranych kobiet poniosła sromotną klęskę w walce przeciwko okopom cen, broniącym dostępu do nowych zakupów. Czyż wolno się dziwić, że Paryżanki uśmiechają się rzadko?

Nawet Quartier Latin czuje się nieswojo. Dzielnica studentów stracila swój charakter międzynarodowy, ale młodzież francuska stara się podtrzymać tradycję. Po wykładach studenci obsiadają wszystkie stoliki w popularnej kawiarni Dupont na bulwarze Saint Michel. Przylepiają sobie brody i faworyty, rzucają papierowymi kulami i strzałami, napełniają salę wesołym choć nieharmonijnym śpiewem. Tylko Niemcom dobrze się śpiewa przy piwie. Francuzom jakoś nie idzie.

Café Dupont to oaza wesołości i beztroski w dzisiejszym Paryżu, dzięki przywilejom młodości. Dorośli wzdychają do wiosny, jeśli wolno tak powiedzieć — do wiosny przyrody i cen.

Tymczasem piją piwo. W szarawym odcieniu piany, w goryczy chmielu znajdują odbicie swych trosk powszednich.

**Jan Huszcza**

## Wysokopostawiona osoba

*Z niecierpliwością czekaliśmy na przyjazd wysokopostawionej wojewódzkiej osoby do naszego miasteczka.*

*Bo, wiecie, niby to i owo było tu w porządku, ale nie wszystko: dokuczały i ciemne strony naszemu życiu! Na te ciemne strony składało się postępowanie paru miejscowych dygnitarzy, których w pismach i wierszykach satyrycznych nazywają kacykami.*

*Marzyliśmy: przyjedzie wojewódzka osoba, minie gmach starostwa, minie parę innych, oznaczonych urzędowymi szyldami gmachów i porozmawia — może nawet w cztery oczy — z nami, z szarym, tzw. człowiekiem, który głośno nie odezwie się, ale szeptem, to i owszem!*

*Wreszcie słyszymy z daleka: jedzie wojewódzka osoba. Limuzyna, owszem, aż błyszczy, na twarzach osoby i jej asysty malują się życzliwe, pełne wyrozumienia uśmiechy.*

*Omal głośno nie zawołaliśmy:*

*— Osobo, wysiadaj, chodź tu do nas!*

*Ale na osobę czekało oficjalne powitanie, złożone z chleba, soli i przemówień. Przemawiał zaś starosta, potem Majewszczak, który potem zresztą — przezorny facet! — od osoby ani na krok nie odstępował, nawet do ubikacji osobiście ją odprowadzał.*

*Widzieliśmy po oczach osoby, że miała dobre chęci i nurtował ją zamiar poznania, tudzież uzdrowienia stosunków.*

*Oczy nie zawiodły. Osoba wyraziła chęć skontaktowania się z miejscowymi robotnikami.*

*A Majewszczak na to:*

*— Proszę bardzo! U nas jako miejscowy robotnik zawsze występuje ob. Hallaj. Gada jakby gazetę czytał!...*

*Potem osoba chce bliżej zetknąć się z chłopami. Więc znowu Majewszczak:*

*— Ob. Parysie, prosimy do nas!*

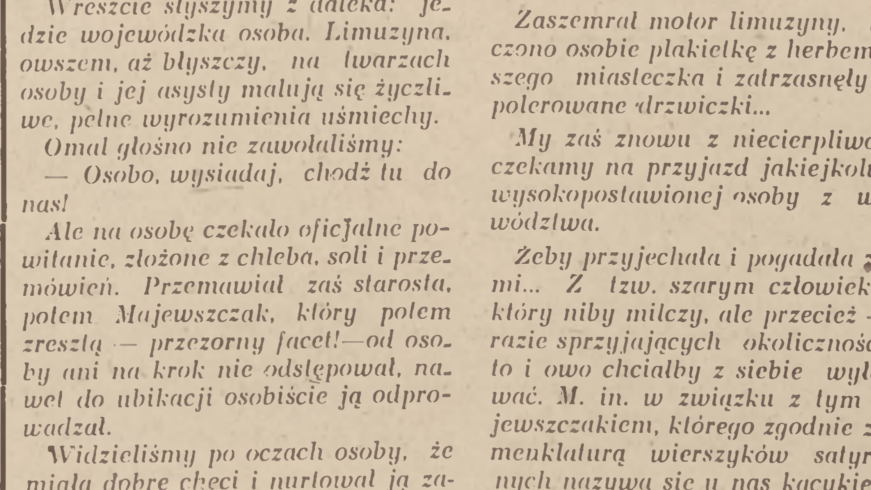
*Oglądnęła jeszcze osoba wzorowy klomb (wszystkim osobom pokazują u nas ten klomb!), spojrzała na zegarek marki „Cyma" i zawołała:*

*— No, kochani, ale na nas już czas! Widzę, że tu sobie nieźle dajecie radę...*

*Zaszemrał motor limuzyny, wręczono osobie plakietkę z herbem naszego miasteczka i zatrzasnęły się polerowane drzwiczki...*

*My zaś znowu z niecierpliwością czekamy na przyjazd jakiejkolwiek wysokopostawionej osoby z województwa.*

*Żeby przyjechała i pogadała z nami... Z tzw. szarym człowiekiem, który niby milczy, ale przecież — w razie sprzyjających okoliczności — to i owo chciałby z siebie wyładować. M. in. w związku z tym Majewszczakiem, którego zgodnie z nomenklaturą wierszyków satyrycznych nazywa się u nas kacykiem.*





# U POETÓW

## Wiersze Mariana Piechala

### O wojnie

Jest wojna, synku, gdy to piszę,
a wojna to krew,
to trupy owinięte w ciszę
i w potomnych śpiew.

Gromadzą się coraz surowsze
pułki grubych chmur,
pierzcha spokój jak wichru ostrzem
zdarty wody wiór.

W ognistych drzazgach dzień się bud
noc w odstrzałach zórz,
armaty zasypują ludzi
wybuchami róż.

Z łodyg stalowych luf wykwita
ołowiany kwiat —
ziemia cała żelazem ryta
w deseń nowych map.

Twój ojciec między piorunami
w historię się wplótł.
Nie o litość, synku, nad nami —
o Polskę się módl.
(1939 r.).

### Kołysanka

Hejże ino, fijołeczku leśny,
czemużeś się nie rozwinął wcześniej,
byłbyś wyrósł od ziemi ku górze,
odporniejszy na wiatr i na burzę.

Nachmurzoną burzę z piorunami
błyskającą kocimi ślepiami —
ty byś burzę z błysków oswobodził
i jak kotka rączką ułagodził.

Błysk by zagasł, piorun by ucichnął,
gdybyś z oczka błękit w niebo wytchnął,
mógłbyś mamie dobrej nocy życzyć,
gwiazdki we śnie na paluszkach liczyć.

Hejże ino, fijołeczku leśny,
rozwiń mi się, rozwiń jak najwcześniej,
żebyś mógł się z każdą burzą zmierzyć,
o seruszko własne świat poszerzyć.
(1939 r.).

### O sobie

Nie zostawię, prócz wierszy, żadnego dobra
żadnej spuścizny,
prócz ciebie, synku, roślinko z mego biodra,
cząstko ojczyzny.

Ach, inni mieli różne jeszcze, niestety,
sprawy i troski,
lecz nie było już w życiu dla mnie, poety,
nic oprócz Polski.

Z Jej imieniem przecież rosło moje imię
każdą literą,
bez Niej podobny nagle próżnej łupinie,
puste jak zero.

Inni mieli moc złudzeń — i wybór wolny,
ja — tylko serce
i odbity w nim świat — jak świat dookolny
w rosy kropelce.

Nie spalę mego serca w kadzidłach wonnych
ni w aleosie —
gdybym umarł, synku, to ci je do rąk twych
wiersz ten odniesie.

Ciebie, mą jedyną nadzieję i dumę
w tym sercu noszę,
liczę dni mej rozłąki i mnożę sumę
jak żebrak grosze.

Myśleć już nie mogę o tobie, syneczku,
bo łzy mi lecą —
one wszystkie nad tobą, gdy śpisz w łóżeczku,
jak gwiazdy świecą.
(Altengrabow, 1939 r.).

*W najbliższym czasie nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" ukaże się tom poezji Mariana Piechala pt. „Wiersze wybrane".*

*Tom ten stanowi obszerną antologię, na którą złożą się utwory z przedwojennych zbiorów autora: „Krzyk miasta", „Elegie całopalne", „Garść popiołu" i „Srebrna waga" — oraz z przygotowanych obecnie do druku zbiorów: „Godziny nieśmiertelne", „Z rozgromu" i „Miara ostateczna". Poniżej drukujemy kilka utworów z antologii pt. „Wiersze wybrane" z cyklu „Listy do syna".*

### Pismo

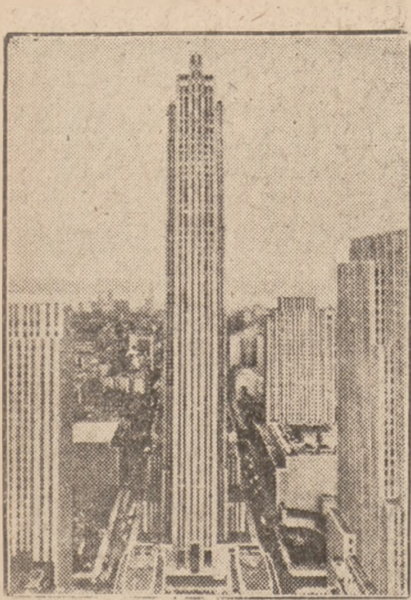
Wszyscyśmy, myślę sobie, od śmierci zawiśli.
Ten tylko śmierć zwycięża w sobie, który myśli.
Jedna tylko ucieczka przed śmiercią: w legendę.
W tym tylko, co napiszę, zostanę i będę.
Nie spostrzegłem, tak myśląc, nieopatrznie dumny,
że kształt książki im grubszy, tym bardziej do trumny
podobny. Tutaj właśnie kładę siebie żywcem,
kształtując z blachy w drewno oprawionym rylcem
to wszystko, czegom w życiu nie mógł i nie dopiął,
czując jak ręka z rylcem rozpada się w popiół,
w proch znaków na śnieg karty, w czarne ślady głosek,
dając symbol tego, gdziem w życiu nie doszedł,
w szkielet liter, w hieroglif rozsypane ciało,
które przyszłość ma złożyć w formę doskonałą.

### Przykazanie

Jeśli miałbyś się, synku, z niewolą pogodzić
i w łańcuchu na rękach całe życie chodzić
i ślady po nim cierpieć bez krwawej odpłaty
i tylko jak hańbiące obnosić stygmaty
i nowe ciosy losów przyjmować w pokorze
i trwać w jarzmie i orać jak wół ziemię orze
i połykać ze łzami nienawistne słowa
i truciznę z nich sączyć w krew i brać od nowa
i bez sprzeciwu ciosy obelg i rozkazów
i pozwolić się w druty kolczaste ukazów
i wrogich praw krępować lub zdradne zaszczyty
i honory przyjmować na duchu zabity
i w płatnej służbie wroga imię swoje podlić,
to ja — który już nie mam nic, prócz Boga w niebie,
a na ziemi, syneczku, nikogo, prócz ciebie —
słowami Mickiewicza tak będę się modlić:
Boże, coś mi rozkazał spełnić kielich życia
i zbyt wielki, zbyt gorzki dałeś mi do picia!
Jeśli względów Twojego miłosierdzia godna
cierpliwość, z jaką gorycz wychyliłem do dna,
jedynej, lecz największej śmiem żądać nagrody:
pobłogosław synowi, spraw, niech umrze młody.
(1940 r.).

*Eugeniusz Żytomirski*

# W CIENIU DRAPACZY CHMUR



Nowy Jork nie jest największym miastem na świecie. Encyklopedia amerykańska z 1943 r., korzystając zresztą zapewne ze starszych źródeł statystycznych, podaje liczbę mieszkańców tego miasta na 7 i pół miliona. Londyn zaś według tego samego źródła liczy ponad 8 200.000 ludności.

Wydaje się jednak, że cyfry te dotyczą w i e l k i e g o Londynu, najbliższe już zaś okolice Nowego Jorku, właściwie jego przedmieścia stanowią odrębne jednostki administracyjne i należą nawet — jak leżące po drugiej stronie rzeki Hudson New Jersey-City, Hoboken, Bayonne, Elisabeth — do innego stanu.

W każdym razie Nowy Jork sprawia wrażenie najpotężniejszej metropolii świata — i zapewne jest nią w samej rzeczy. Założony w r. 1653 jako New Amsterdam, jest dziś New York nie tylko największym miastem Stanów Zjednoczonych. Jest ich największym ośrodkiem produkcyjnym (około 10 proc. amerykańskich artykułów pochodzi z miasta drapaczy), jest „bramą do Ameryki", ma przy tym najbardziej międzynarodowy charakter ze wszystkich miast drugiej półkuli.

Dlatego też Nowy Jork nie może być uważany za miasto t y p o w o amerykańskie. Ktoś, kto chciałby sądzić o Stanach Zjednoczonych lub, co się zdarza, p i s a ć o tym państwie, nie wydalając się z murów zabudowanego drapaczami chmur, otoczonego dwiema rzekami i zatoką półwyspu — Manhattanu czyli właściwego New Yorku, popełniłby wielki błąd. Mógłby na przykład przypuszczać (i tak się w istocie dzieje), że owe drapacze są „ozdobą" każdego większego miasta amerykańskiego, tymczasem zaś budowane są (a raczej b y ł y) en masse właśnie tylko w New Yorku (wyjąwszy jedno chyba, „małpujące" swego czasu nadhudsońskiego „konkurenta" Chicago), ściślej w Manhattanie — z tej prostej przyczyny, że nie mogąc już rozrastać się wzdłuż i wszerz, musiał on rozrastać się wzwyż.

Byłby może również przekonany, że cały teren Ameryki zamieszkują pomieszani ze sobą „rdzenni" Amerykanie. Chińczycy, Włosi, Niemcy, Polacy, Ukraińcy, Węgrzy, Czesi, Grecy, Hiszpanie i inne narodowości. Gdy tymczasem wielu spośród nich gdzie indziej w ogóle w większych grupach się nie spotyka, lub też spotyka się w określonych miejscowościach zwarte i zamknięte w specjalnych dzielnicach — jak gdyby gettach — narodościowe skupiska. Nie wiem, czy spacerując po Brodway'u uwierzyłby w to, że w niektórych, większych nawet miastach amerykańskich nie ma teatrów, czy oglądając eleganckie wystawy na Park Avenue wyczarowałby przed oczyma obraz bezbrzeżnych, jałowych obszarów, czy mieszkając w luksusowych hotelach Manhattanu uwierzyłby opisom licznych, pozbawionych światła elektrycznego i kanalizacji lepianek południowo-zachodnich stanów.

Po to zresztą, żeby zrozumieć, że Ameryka — to nie tylko najbardziej wyrafinowane zdobycze cywilizacji materialnej, nie tylko drapacze, monumentalne gmachy i pomniki, nie tylko wspaniałe sklepy, teatry, kina i kabarety, najszybsze na świecie koleje podziemne i najnowocześniejsze zakłady produkcyjne — nie trzeba wyjeżdżać z Nowego Jorku, nie trzeba nawet wydalać się z Manhattanu. Wystarczy dokładnie go zwiedzić. Wystarczy wybrać się do murzyńskiej dzielnicy — Harlemu, wystarczy zamieszkać na pewien czas w dole miasta. I wówczas zobaczy się nędzne mieszkania, dalekie nie tylko od błogosławionych owoców cywilizacji, lecz i od najprostszych wymogów higieny, zobaczy się leżące w rynsztokach, pijane, obdarte kobiety, suchotnicze dzieci grające w „baseball'a" na pełnych śmieci i odpadków jezdniach i zasłoni się chusteczką nozdrza przed zbyt już dokuczliwymi zapachami, wydobywającymi się z trzecio-, czwarto- i piątorzędnych „kafeteryj", restauracyj i barów.

Czy chcę przez to powiedzieć, że Nowy Jork jest brzydkim miastem? Bynajmniej. Jest tylko najzwyklejszym pod słońcem, wielkim miastem. Zarazem jednak miastem państwa o najbardziej kapitalistycznym ustroju. Miastem zamieszkałym przez uciekinierów ze wszystkich krajów Europy — tych, którym się powiodło i tych, którzy nie mieli szczęścia. Miastem bogaczy i nędzarzy. Multimilionerów — i skrajnych biedaków. Pracowitych, uczciwych ludzi i — opryszków. Kobiet eleganckich i pięknych — i brzydkich i źle ubranych. Miastem pełnym blichtru, kokieterii i tanich pokus. Miastem zimnym, nieczułym.

Prawdą jest także i to, że jeden z nowojorskich mostów, wiszący cud nad Hudsonem, zbudował syn naszej wielkiej aktorki, Ralph Modrzejewski, a w Central Parku znajduje się pomnik króla Władysława Jagiełły.

Wy jednak pozwólcie, żebym spoczął na jednej z ławek Riverside'u — bulwaru nad Hudsonem — obok jakiegoś starszego, przeglądającego drobne ogłoszenia „New York Times'u" pana i młodej, bardzo skromnie ubranej i bardzo smutnej dziewczyny i wpatrzył się w ciemne, ujęte w świetlne klamry Manhattanu i Brooklynu, nurty rzeki. Rzeki podobnej do Wisły i jak Wisła do morza płynącej.

# ZNAM CARMEN MORY „CZARNEGO ANIOŁA" Z RAVENBRÜCK

Oparta o barierę krużganka wielkiej sali wystawowej, nowoodbudowanego Instytutu Geologicznego, stoi kobieta w średnim wieku. Postać jej nosi wyraźne ślady ciężkich przeżyć wojennych. Na plecach żakiecika, którym się otuliła, widnieje białą farbą wymalowany krzyż — znak Ravensbrück.

— Więc pani mówi, że Szwajcarzy chcą wyreklamować Carmen Maria Mory — pyta mnie pani Janina P., była więźniarka Ravensbrück. — To niemożliwe, przecież była ona postrachem wszystkich ravensbrüczanek, a szczególnie chorych na gruźlicę. Czy pani wie, jak ona wygląda?

— Nie, ale ciekawa jestem, jak wygląda ten „Czarny Anioł".

Pani Janina zamyśliła się.

— Tak ona naprawdę była „Czarnym Aniołem". Czy może sobie pani wyobrazić piękną czarownicę. Wysoka, lekko pochylona, o smagłej cerze, niespokojnych, wełnistych, kruczoczarnych włosach i przepastnych, nieskończenie złych oczach. Nieskazitelnie biały fartuch, strój pielęgniarki, podkreślał jeszcze jej czerń.

— Wiem, że znała ją pani osobiście. Kiedy i w jakich okolicznościach zetknęła się z nią pani po raz pierwszy.

— Było to w roku 1944, kiedy po ciężkim obustronnym zapaleniu płuc, dostałam się na oddział dla gruźliczek. O Carmen Mory wiedziałam wtedy niewiele. Mówiono, że jest ona córką lekarza szwajcarskiego, który posiadał nawet swoje własne sanatorium, ona zaś z zawodu była dziennikarką. Nie wiem jednak, w jaki sposób dostała się ona do obozu, wiem, tylko tyle, że aresztowano ją we Francji. Karierę agentki Gestapo na terenie Ravensbrück rozpoczęła w sposób następujący. Carmen Maria Mory tak, jak i wszystkie więźniarki musiała cały swój majątek ruchomy zostawić w kamerze. Tymczasem znaleziono przy niej biżuterię i za to poszła do turmy. Tam widocznie zgodziła się być agentką Gestapo.

— Więc myśli pani, że nie wytrzymała ona więzienia, po prostu załamała się i dlatego przystąpiła do pracy w Gestapo?

— Nie wiem, to tylko jest pewne, że z momentem wyjścia z turmy stała się niebezpiecznym donosicielem.

— Wszyscy wiemy, że była ona agentką Gestapo obozowego, ale jaką oficjalną funkcję pełniła?

— To było i jest dla nas wszystkich zagadką. Właściwie była ona pielęgniarką, ale trzęsła całym blokiem. Była panią wszystkich chorych, a nawet lekarek. Robiła też, co chciała. Pewnego dnia, kiedy weszłam do mego baraku, potknęłam się niespodziewanie o jakieś ciało. Z przerażeniem skonstatowałam, że jest to naga kobieta ze skrępowanymi nogami i rękoma. Gdy zwróciłam się do jednej z pielęgniarek z zapytaniem, dlaczego tak z chorymi postępują, tamta odpowiedziała: „Ona była nieznośna, w ten sposób ukaraliśmy ją. Carmen Mory tak postanowiła".

— Tak traktowano ciężko chorych?

— O tak i w inny sposób znęcała się owa piękna czarownica nad swymi podwładnymi. Na baraku gruźliczym, prócz chorych na gruźlicę, było jeszcze 40 wariatek. Zamknięte wszystkie razem w małym pokoiku, prawie nieodziane, siedziały one tak ściśnięte jedna kolo drugiej przez cały dzień. Wyprowadzano je tylko do umywalni. Wariatki te również zależne były od Carmen Mory. Mimo, że tych 40 kobiet objęte były mianem wariatek, nie wszystkie z nich były umysłowo chore. Sama znałam jedną Rosjankę zupełnie normalną, którą Carmen Mory nie wiadomo z jakiego powodu wtrąciła do pokoju wariatek, a w książce blokowej przy jej nazwisku napisała — „ferückt". — To były wystarczające. Diagnoza lekarska w takim wypadku była całkiem niepotrzebna. Naturalnie po pewnym czasie nawet najzdrowsza kobieta, żyjąca w takich warunkach, gdzie pokój był sypialnią, jadalnią i ubikacją dla 40 osób i przy stałym kontakcie z umysłowo chorymi, musiała zachorować na rozstrój nerwowy. Z pokoju wariatek nie wyszedł nikt żywy. Raz zapisany, musiał tam pozostać do śmierci. Zresztą śmierć zaglądała do nich często. Carmen Mory i jej podwładne okradały wszystkie chore z racji żywnościowych, a w pierwszym rzędzie konające gruźliczki i wariatki. Te drugie przeznaczone na śmierć, nie otrzymywały prawie wcale jedzenia. A kiedy dopominały się o swe prawa, dawano im środki nasenne.

— I pani podobno groziło dostanie się do pokoju wariatek. W jaki sposób naraziła się pani Carmen Mory, że do tego stopnia panią znienawidziła?

— Ze mną było tak. Od samego początku raziło mnie postępowanie Carmen Mory wobec chorych. Nie ukrywałam tego przed nikim. Wiedziałam, że dojdzie w końcu do krótkiego spięcia między nami. I nie omyliłam się. Słoik podczas burzy spadł z okna i stłukł się. Powiedziałam koleżance, która zajmowała się sprzątaniem, aby zabrała skorupy, a sama poszłam się myć. Po kilku minutach wpadła do mnie inna koleżanka, mówiąc: „Carmen Mory chce cię natychmiast widzieć". Nie mogłam od razu spełnić tego rozkazu, ponieważ strój mój był więcej niż niedbały. Ale Carmen Mory nie chciała czekać. Wpadła do łazienki, wyciągnęła mnie stamtąd dosłownie w koszuli. Bijąc i popychając kazała zebrać potłuczone skorupy, a następnie wynieść je na śmietnik, oddalony o jakiś kilometr. W tym stroju przy skonstatowanej gruźlicy poszłam, a na pożegnanie Carmen Mory uderzyła mnie w twarz. Po tym incydencie zrozumiałam, że nie mam na co czekać i wypisałam się z bloku gruźliczek. W kilka dni później koleżanki doniosły mi, że zrobiłam to w samą porę, Carmen Mory bowiem chciała już wpisać do książki blokowej przy moim nazwisku słowo „ferückt".

*K. Kowalska*

**Aleksander Janta Połczyński** (Ilustr. J. Kuczborska).

# KŁAMAŁEM aby żyć

**Niebawem ukaże się w druku nakładem „Wiedzy" książka Janty - Połczyńskiego pt. „Kłamałem, aby żyć". Jest to pamiętnik z pierwszych lat wojny, w którym autor nie tyle opisuje, ile bada z precyzją psychologa życie ludzi w niewoli, wnika kolejno w stan duszy żołnierza po klęsce we Francji, w przeżycia jeńców różnych narodowości, w końcu podejmuje się analizy zachowania i postępowania Niemców.**

**Oficer polski, literat i podróżnik, wzięty po klęsce we Francji do niewoli, podaje się za Francuza, ponieważ Niemcy nie traktują Polaków jako jeńców wojennych i autorowi pamiętnika wydaje się, że w ten sposób ratuje swe życie.**

**Od tej chwili zaczyna się dla niego okres nieustannego lęku i napięcia nerwów. Znajduje wśród kolegów-jeńców francuskich wypróbowanych przyjaciół. Wraz z grupą dziewięciu żołnierzy wysłany zostaje z obozu na roboty rolne do niemieckiej wsi. W tej grupie znajduje się również drugi Polak, podchorąży, ukrywający się tak jak i autor pod nazwiskiem Francuza. Najtrudniejsze są chwile stykania się z Polakami, aby nie zdradzić się niebacznym słowem, czy gestem, że się rozumie polską mowę. Nie wolno nawet śnić po polsku, by nie wymknęło się jakieś polskie słowo.**

**Czasami jednak nerwy zawodzą...**

**Oto fragment rozdziału „Timeo„ ergo sum" — boję się, a zatem istnieję.**

Kosiliśmy tego dnia dużą łąkę pod lasem. Trzeba było obkosić wszystkie jej stoki i szerokie pasy po brzegach, po czym Stasiek szedł po konie i kosiarkę i kończył resztę maszyną. Schnabel miał tego rana jeden ze swoich wybuchów pilności. Siadł sam na kosiarkę i hukając na konie oraz wykrzywiając twarz zwykłym sobie grymasem, łamiącym ją w tysiąc zmarszczek, które pozorowały niesłychane skupienie i wielki wysiłek umysłowy, podprowadził maszynę pod nastroszone zgęstwienie traw, opuszczał lewarem sterczące po boku skrzydło zygzakowatej i chodzącej ruchem tłoka kosy i odstrzygł każdym przejazdem równe pasmo zielonego łanu.

Zaraz za maszyną trzeba było pokos leżący gęsto raz przy razie rozgarniać widłami i rozsypywać równo — miało to schnąć czym prędzej, korzystając z każdej godziny słońca. Po obiedzie należało zeschniętą trawę odwracać, a wieczorem na tej samej łące już ją zbierać na kupki, ochraniając przed wilgocią wstającej rosy to jutrzejsze siano, przy którym robota zaczynała się nazajutrz znowu od początku aż do władowania na wóz i przewiezienia na podwórze. Ani chwili wytchnienia, z pośpiechem, z udziałem wszystkich sił miejscowych, do których czasem dołączała się i Frau Nebel i kuzyn z młyna w sąsiedniej wsi i nawet szwagier, członek partii, Herr Wirt, zawsze spocony w swoim miejskim ubraniu, choć kurtkę zdejmował i krzątał się pośród nas z podkasanymi rękawami koszuli, w spodniach podwiniętych i wiszących jak worek na bardzo kolorowych szelkach. Schnabel od rana przejęty nawałem roboty poganiał nas i konie, a kiedy tylko zaczął ujeżdżać tam i z powrotem na swojej kosiarce tnącej łąkę równymi ściekami z łoskotem, co przypomina maszynę do szycia, odesłał nas troje, Wandę, Staśka i mnie, z kosami do koniczyny, gdzie mieliśmy co prędzej jeszcze „Futtru" dla krów nakosić. Wanda od rana zdawała się jakaś nieswoja, nieskora do gadania: ani głupich żartów, jakich w przystępie dobrego humoru nie szczędzili przy robocie Schnabel, a zwłaszcza kuzyn młynarz, zawsze bardzo pewny siebie, puszczający się na niewybredne dowcipy z Wandą, do poklepywań włącznie, jeżeli pozwalała na to nieobecność babci, bo przed starą Frau Nebel nie było się co żenować.

Wanda odcinała się jak mogła tym jego zalecankom, wymyślała przed Staśkiem, ale trudno się jej było stawiać zbyt ostro, tym bardziej, że Schnabel przymykał oczy na te kuzynowskie sposoby, rad jego obecności i uważając widocznie, że mu się za nią należy trochę zabawy z polską dziewczyną, która stanowić być może powód częstszego niż przedtem zjawiania się młynarza w Rabenhofie w porze żniw, sianokosów i każdej większej roboty.

Stasiek patrzał na niego nieprzychylnym wzrokiem jak na rywala, który go zresztą z racji swej rasowej wyższości traktował za nic i nie żałował okazji, by móc okazać swą nieprzychylność czy to rozkazem twardym i bezwzględnym jak policzek, czy też uwagą jakąś pogardliwą o Polakach, powiedzianą tak, aby Stasiek nie tylko słyszał, ale i rozumiał. Tłumaczyłem więc sobie dzisiejszą zaciętość i mrukowatość obojga Polaków nowym jakimś dowodem bezczelności młynarza, który, traktując Wandę inaczej wprawdzie niż Staśka, nie oszczędzał ich swoją pogardą i nieznośnym, drwiącym stosunkiem człowieka, znaczącego na każdym kroku swą nieodpartą wyższość.

Nie mówili nic; zabraliśmy się do koszenia koniczyny, ja na końcu, aż nagle Wanda powiedziała do Staśka, jakby kończąc poprzednią rozmowę, której początku nie słyszałem wcale:

— ...i nie wiem teraz, co z tego będzie. Może by tak powiedzieć Francuzowi?

Ścisnęło mi się serce uczuciem nagłego strachu, jakby od uderzenia alarmowego dzwonka. Stało się coś, o czym nie wiem, coś, co wygląda w tej chwili niepokojąco a groźnie, co i Wandę i Staśka zdaje się bardzo przejmować...

Stasiek odpowiedział nie zaraz, namyślając się, trochę niepewnie:

— Po mojemu to ten Francuz wiedział...

Czułem dobrze, że mi nie oszczędzą powiedzenia swojej tajemnicy. Wandę język zanadto świerzbi, aby mogła ją teraz utrzymać, tym bardziej, że Stasiek nie protestuje. Ale już mnie przenika znowu nagłe osłabienie, ugięcie się kolan, skurcz w gardle, niby reakcja ciała na tę wewnętrzną sprawę rosnącej trwogi, której tak chciałbym uniknąć. Tak pragnę nie wiedzieć, bo wiem już, że cokolwiek powiedzą po tym przerażającym wstępie będzie z pewnością jak cios. Przeczuwam katastrofę. Nie, tego nie sposób uniknąć. To trzeba przyjąć z opanowaniem wszystkich odruchów, spokojnie...

Już nie pora cofnąć się, ani uchylić się przed grożącym wyznaniem Wandy. Zatrzymała się, ostrzy kosę, patrzy na mnie jak udaję obojętność.

— Ryne — mówi tym swojskim sposobem, którym mnie oboje wołali i dodaje parę niemieckich słów, jakie się w moim umyśle złożyły na bezlitosne stwierdzenie, że wszystko, co budowałem udawaniem, próbę grania roli i ukrycia prawdy przed Niemcami, wali się teraz jak od uderzenia gromu w kruche moje nadzieje i nieprzytomne złudzenia.

Więc się Leon zdradził nieopacznie? Oni, Wanda i Stasiek już wiedzą, że jest Polakiem. I tamci Polacy, którzy z nim pracują, też wiedzą. I wszyscy inni. Przypomina mi się nagle moja ranna z Leonem rozmowa. Więc i on już o tym wiedział, nieszczęśliwy, a próbujący przede mną odwlec przyznanie się? I upewniał się, co nam może grozić, niczym skazaniec, który próbuje odsunąć widmo wyroku, który przeczuł i tak. Co się stało? Co się to mogło stać, że wszystko stracone? Nie robię sobie nadziei, aby ta sprawa raz opuściwszy krąg wtajemniczonych i szerząc się dziką, sensacyjną plotką między Polakami naszej wsi i wsi sąsiednich mogła być zatrzymana, zduszona, cofnięta i schowana pod ziemię.

Badawczo przygląda mi się Stasiek i patrzy na mnie Wanda — mieliśmy szybko kosić, ale nie ma tu nikogo, kto by pilnował, więc rozmawia się o sprawie najpil-



...i nie wiem teraz, co z tego będzie. Może by tak powiedzieć Francuzowi?

niejszej. Czuję, że i Staśkowi i Wandzie dolega, że ciąży im ta nowina, że sobie zdają sprawę z jej wagi i niebezpieczeństwa.

Wanda ze Staśkiem mówią po polsku, żebym nie zrozumiał, tak jak w teatrze dawnym aktorom, mówiący „na stronie". Ale ten teatr nie chce mi oszczędzić stwierdzenia, że ciekawość obojga przerażonych owym odkryciem Polaków, w jednym tylko mierzy kierunku: czy ten ich Francuz wiedział, że Marcel jest Polakiem, czy nie wiedział?

— Du, Ryne, du wissen Marcel Pole?

To nie jest pytanie, to brzmi oskarżająco, nie do odparcia, jest pokazaniem palcem wspólnika tego oszustwa, którym się zdają oboje dotknięci, przejęci i przerażeni.

I chyba tylko zmieszanie moje nieudawane, prawdziwe, wytrącenie nagłe z równowagi, którego nie umiem ukryć, prowadzi ich teraz na trop fałszywy: skoro taki jest zaskoczony i tak przerażony, to pewno i dla niego nowość i niespodzianka tak samo dziwna, jak dla nich.

Ze swej strony mam prawo do wniosku, że chyba cała ta sprawa tyczy wyłącznie Leona, że o mnie nie wiedzą nic dotąd, że jeszcze warto podjąć dalszą próbę ratowania się z tej sytuacji. Usiłuję tę ich wiadomość obrócić w żart. To niemożliwe, żeby Marcel był Polakiem. Może i mówi po Polsku, ale urzędnik biura podróży mówi różnymi językami...

Wanda zaprzecza gwałtownie. Nie, oni wiedzą na pewno. Marcel rozmawiał po polsku z Magdą i Wojtkiem i powiedział im, że jest oficerem polskim, który kryje się przed Niemcami. I zdaje się Niemcy już wiedzą, bo Wojtek po głupiemu wygadał. Takie nieszczęście.

— A ty nic nie wiedziałeś o tym?

— Ja? Skądżeby znowu. Mnie nikt o tym nie powiedział nigdy. Francuzi nie wiedzą o niczym.

Próbuję odgrodzić się od tej sprawy, jak umiem, chociaż nie wiem, czy to się zda na cokolwiek. Najważniejsze to byłoby teraz zobaczyć Leona i dowiedzieć się, co się stało, ale na zobaczenie go trzeba czekać cały dzień, aż do wieczora, a do wieczora może się tyle stać, skoro jak mówi Wanda, już nawet Niemcy wiedzą. Kosimy dalej, bo trzeba kończyć robotę, każdy po swojemu pod wrażeniem tej wiadomości, przytłoczony uczuciem idącej katastrofy. Czuję jak strach uderza mi do głowy falą krwi niespokojnej, mgłą myśli skotłowanych obłędem. Czuję muśnięcie grzbietu kosy, jak się przesuwa wzdłuż całego rozpięcia mojej obecnej życiowej sytuacji i zatrzymuje na chwilę przed powrotnym pociągnięciem ostrza. Czekam, nie wiedząc skąd i kiedy przyjdzie.. Wanda i Stasiek powrócili do swoich rozmów.

— Ryne nic nie wie — mówi Stasiek. — Tamten mu nic nie powiedział, udawał chytrego przed Fracuzami. Ale po co mu było gadać z Wojtkiem i Magdą? Wojtek w dodatku taki głupi, zaraz wszystkim rozpowiedział...

Przejmowali się tą sprawą i gubili w przypuszczeniach. Dokładnie nikt nic nie wiedział.

— Bo to on naprawdę komu powie? — protestowała Wanda. — Że on Polak to wiadomo, ale co za jeden i czemu tak się ukrywał między Francuzów, tego nie zdradzi...

— Niemcy z niego wyduszą — podejmował rozmowę Stasiek. — Jak nie powie po dobremu, to będą go bili. Albo to oni pierwszy raz takie rzeczy robią? Już się nie bój Wanda, jak raz go złapią, to się biedak z tego nie wyciągnie, aż im wszystko wyśpiewa raz przy razie i po kolei od samego początku...

Serce mi bije mocno. Tak, to jest strach, podły, paskudny strach. Nie mogę opanować tego odruchu nerwów, który mnie przyprawia niemal o mdłości. Niesmak istnienia. Dobrze mi znany spazm, przewracający wnętrzności, które za nic nie mogą opanować niby dreszczów gorączki, nagłej a nieustannej. Jakie to dziwne stwierdzenie, jaka groteskowa prawda, która teraz zamyka istotę życia. Pod jej znakiem toczy się cały dzień, nieskończenie długi i rozwlekły, przeniknięty tysiącem przypuszczeń najgorszych, cały zużyty w poszukiwaniu jakiejś rozsądnej drogi wyjścia z impasu dla Leona, ale także i dla mnie. Zresztą nic jeszcze nie wiem, dopóki się z Leonem nie zobaczę. Jeżeli to wszystko prawda, co mówią Stasiek i Wanda, może go już wieczorem nie będzie, może go już więcej nie spotkam? I wszystko się zamknie dla mnie w morzu niepewności nieznośniejszej i trudniejszej, niżli najgorsza pewność.

Z uczuciem ogromnej ulgi zobaczyłem go jednak idącego jak co dnia po robocie w stronę Rabenhofu. Schnabel był nadto zajęty swoją robotą, aby mieć czas na słuchanie wiejskich plotek i opowiadań. Do niego jeszcze nie dotarła ta wiadomość. Udaję ogromnym wysiłkiem panowania nad sobą, że jest wszystko w porządku, że nie ma żadnych zmian w moim stosunku do kolegi-jeńca, bo się właśnie nawinął Schnabel i odprowadza mnie do drzwi, gdzie czeka Leon i gdzie za chwilę nadejdzie wachman, aby nas zabrać do łagru. Zagadał nam Leona jak gdyby nigdy nic. Nie, Schnabel jeszcze nic nie wie. Zostaliśmy na chwilę sami.

— Co się stało? — mówię do Leona głosem ściśniętym z emocji, pilnując się teraz jak umiem, aby nie wybuchnąć. Chciałbym mu prawie rzucić jak oskarżenie: nie powiedziałeś mi nic, ukrywałeś przede mną twoje potknięcie się, twoją chwilę słabości, która nas

(Ciąg dalszy na str. 12-ej).

# KŁAMAŁEM aby żyć

(Dokończenie ze str. 11-ej).

może tyle kosztować. Chciałbym krzyczeć to wduszone przez cały dzień odczucie człowieka, który się uparł wytrwać i widzi nagle, że mu ten upór zacięty wytrąca już nie przypadek, ale człowiek, na którego pomoc najbardziej liczył. Chciałbym wołać: nie rozumiem! Nie rozumiem, co się stało i jak się to mogło stać? Ale mówię nieledwie szeptem. I zaklinam o pośpiech: mów. Mów szybko, bo niewiadomo przecież, czy nam pozwolą jeszcze być samym. To może ostatnia okazja. I rozpraszam jego wahania i wątpliwości nagłym, ostrym stwierdzeniem: wiem. Wiem, żeś się wygadał. Wiem, że Polacy już wiedzą. Powiedziałeś im przecież. I wobec tego nie kryj już nic przede mną. Powiedz...

Opowiadanie Leona jest męczące, poszarpane, trudne. Tak, dzisiaj rano, kiedy mnie się pytał, jakie byłyby szanse dla nas, gdyby się przed Niemcami wydało, cośmy zrobili, tak, dziś rano prowadził rozmowę do wyznania swojej tragedii. Nie było jednak czasu, aby mógł wszystko powiedzieć, co miał do powiedzenia. Próbował odsunąć ode mnie ten koszmar stwierdzenia, że wpadł. Jak się to stało? Bardzo po prostu — przy robocie, kiedy zniecierpliwiony i nieuważny, mówiących po polsku Polaków zagadał nagle — po polsku. A to pan Polak?

Co miał robić? — Przyznał się, prosząc o tajemnicę. Ale Polacy nie wytrzymali. Rozgadali wszystko wokoło. Wraca szaleńcza myśl: a gdyby to wszystko próbował jeszcze obrócić w żart? Mówi przecież wielu językami, to i po polsku. Za późno. Uwaga jest już na nim skoncentrowana. Podejrzenia nikt nie odwróci. Jeżeli Niemcy zechcą sprawdzać tożsamość — wyda się wszystko i tak. Nie był w żadnym biurze podróży. Adres ani nazwisko nie zgadza się. Wystarczy jeden telefon do Paryża, aby ich o tym przekonać. Ogarnia mnie nagle przeczucie buntu, jakiejś wściekłej pretensji do Leona, że nie uważał, że się dał nabrać, że wpadł. Mówię: gra była na całego. Wszystko za wszystko. Gra była o całą przyszłość, o ratunek. Leon opuszcza głowę. Opowiada krótko, decydująco: przegrałem.

Nie ma co robić wyrzutów. Na nic każdy wyraz żalu czy zawodu. Jeszcze tylko jedno pytanie:

— Czy powiedziałeś co o mnie? Czy napomknąłeś może, że nie jesteś sam? Czy domyślają się, że także ja?...

Nie powiedział nic o mnie. Mogę być o to spokojny. Nie, spokojny nie będę już nigdy. To wykluczone. Będę najwyżej wiedział, jak dalej prowadzić swoją grę, która się stała nagle tak straszliwie skomplikowana.

— Czy możesz mi dać na to słowo? — pytam, szukając mocniejszych podstaw, jakże kruchej w tej chwili nadziei, że się potrafię uratować z tego potrzasku, z przepaści, w którą mnie niechcący pociągnął.

Słowo. Podał mi rękę. Była spocona i zimna. Przestałem myśleć o sobie. Czuję na piersi ucisk straszliwej troski o niego. Głęboki napływ żalu jest jak fala słabości, która rozłapia wszystkie pretensje i wyrzuty, gromadzące się w mózgu raczej niż w sercu i zamienia je w jeden wielki płomień współczucia, w gotowość poświęcenia się nawet, byle móc ratować przyjaciela, zagrożonego tak strasznym, a niewiadomym losem. Tymczasem wniosek jest tylko jeden w bezradnym pośpiesznym szukaniu wyjścia: trzymaj się, zaciśnij zęby, tak jak ja je zacisnąłem właśnie. Jutro może byłoby dobrze pogadać z twoim chłopem, sam do niego pójdź, poradź się, nie sposób przecież tak tego zostawić i czekać na zmiłowanie się Opatrzności, która jest przeciw nam. Bo ja wiem zresztą?...

Jutro. Złośliwie brzmi to słowo, wrogo wygląda obraz tej bezpośredniej przyszłości dnia, podminowanego niepokojem najgorszych przeczuć. Jutro...

* * *

Koledzy jeńcy francuscy nic jeszcze nie wiedzą, nie spodziewają się nawet. Rozmowy są zwykłe, opowiadania o robocie, wyśmiewanie chłopów i bab, troska o losy listów, drobne, maleńkie sprawy codzienności, do której prawie przywykli. Trzeba za wszelką cenę rozładować ponury patos Leonowego milczenia. Zmieniłem ton. Już nie wolno mówić o niebezpieczeństwie. Raczej chyba bagatelizować jego istnienie. Ostatecznie nic w tym niezwykłego, że się jeniec próbuje ukryć, że szuka, gdzie tylko może drogi wyjścia ze swego położenia, że oszukuje, jak umie. Jeniec ma prawo do tego, ich rzeczą jest tak się urządzić, by jeńcom z tego to prawa jak najmniej przyszło. Ich, Niemców, rzeczą jest utrudnić ucieczkę i oszukiwać władzę. Ale naszym jest prawem szukać szans, bronić się sprytem, próbować sztuki ucieczki, przyczaić się, ukryć, zmylić ślady. Bronić się można nawet lękiem. Lęk przed niewiadomym losem dyktował nam przecież postępowanie. To chyba zrozumiałe i nic w tym nie ma dziwnego. I na pewno nie pierwsi jesteśmy i nie będziemy ostatni.

Szeptem, już w mrokach nocy dzielę się jeszcze z Leonem refleksjami na nasz wspólny temat, podsycam jego odwagę, poddaję rady zbawienne. Trochę wbrew własnemu przekonaniu, ale mu tego nie sposób odmówić — to jest jedyna pociecha i pomoc, na jaką mnie stać. Sam nie wiem, jak wygląda prawdziwe nasze zagrożenie, nie pragnę wcale wyobrazić sobie, co z tego może wyniknąć.

I zasypiam, podszyty tchórzem, przerażony właściwie każdym śmielszym wybiegnięciem myśli, każdym spojrzeniem naprzód w to idące nieubłaganie jutro, które ukazuje się z tego miejsca pełne najgorszych przeczuć i beznadziejnych widoków. Boję się także we śnie. I nawet oddech jest teraz jak tętno lęku. Jutro...

* * *

Dzień, jak wszystkie inne. Mało jest czasu na rozmyślania. Od samego rana pośpiech roboty. Sianokosy. Zanosiło się na burzę po południu. Po słotnym, deszczowym sierpniu pierwsze dni września są niespodziewanie upalne. Idealna pogoda tych paru dni cięcia łąk. Ale dzisiaj po południu grozi deszcz. I dlatego trzeba się podwójnie śpieszyć ze zwiezieniem dobrze wyschłego siana, żeby nie daj Boże nie zamokło jeszcze raz, już zgarnięte w kupy i czekające na wóz na łące. Bo wtedy cała robota dwu dni, od ścięcia, poprzez rozstrzępywaniu pokosu widłami i przewracanie go zręcznym szarpnięciem grabi, aby mógł szybciej schnąć, aż po tę chwilę, kiedy wyrastał na ostrzyżonej darni w suche rzędy kopców, gotowych do wzięcia — na nic. Trzeba by wszystko zaczynać raz jeszcze od początku, dlatego



*Ale podoficer przerwał ostro.*

Schnabel i cały zespół domowych i dodatkowych sił roboczych zwijał się i śpieszył z grabieniem, z ładowaniem wielkich pęków siana na szeroki grzbiet wozu, na którym Stasiek układał je i ugniatał w równe, pękate i oparte na fundamencie drabi i kół stożysko. Rosło tak coraz wyżej, poza przestrzenne granice pojemności i równowagi. Toteż mimo przyciśnięcia tej masy luźnego siana belką, kiedy wóz wreszcie ruszył, trzeba go było po obu stronach podpierać widłami, żeby się na zakrętach albo nierówności kolein nie wysypał, broń Boże.

Pozorowałem jak zwykle wielki wysiłek całego tułowia, przykładając się do tej pracy, od której zależał szczęśliwy dojazd wozu w podwórze. Tym razem jednak Schnabel zmiarkował widocznie, zwłaszcza kiedy się wóz niebezpiecznie zakołysał — przybiegł wydarł mi widły z ręki i swoim obyczajem pokazywał teraz, wrzeszcząc zapamiętale, jak trzeba robić, żeby było dobrze. Starałem się puścić mimo uszu jego wulgarne wymyślania, w ciągu których nie omieszkał mi przypomnieć, że jestem tylko jeńcem grożąc, że znajdzie na mnie sposób, jeżeli się nie przyłożę — wzburzył mnie jednak ten wybuch jego wściekłości, na który nie mogłem odpowiedzieć. Dał mi widły z powrotem do ręki, wóz wytoczył się z łąki na drogę. mniej było strachu o jego bezpieczne dotarcie do Rabenhofu, a tym samym i mniejsza odpowiedzialność moja, jako eskorty.

Pogroził mi jeszcze z daleka, wycierając rękawem pot z czoła już jednak pewny, że interwencja jego była skuteczna i posłuży także na przyszłość.

Wóz wjechał do stodoły; Stasiek, który prowadził konie, odprzągł je teraz, ja miałem zacząć zwalać siano i wóz opróżnić, aby można nim było wyjechać jeszcze przed deszczem na drugą łąkę. Nie myślałem w tej chwili o przeżyciach wczorajszych, ani o nocy minionej, pełnej widziadeł i okropności, zawsze jeszcze obecnych w każdym śnie, ani o sprawie Leona, która stanowiła naczelny powód i jakby szczytowe napięcie wszystkich wspólnych naszych niepokojów. Byłem już znowu strasznie zmęczony robotą, jeszcze poruszony i przejęty scysją ze Schnablem i faktem, że mnie pilnuje, że zwiększa wymagania, że jestem poddany zupełnie jego kaprysom i jego łasce. Podła rola, w której trzeba trwać za wszelką cenę. Chciałbym tylko uniknąć wdychania nowych kłębów kurzu, jakie z każdej kępy siana buchały i wirowały w smugach słońca, stojących w stodole, choć chmury zagarnęły już pół nieba. Było parno i duszno, ale nałożyłem swoim zwyczajem chustkę na nos i usta, zawiązaną węzełkiem w tyle głowy. Jak maskę, zostawiającą tylko oczy, zasłaniającą twarz. I w tej chwili usłyszałem na drewnianym pomoście, który prowadzi pod próg stodoły, czyjeś ciężkie kroki. Wóz zastawiał widok. Miałem się właśnie na niego gramolić, ale mnie zatrzymało to dudnienie podkutych butów nie jednego, ale kilku ludzi. To prawie oddział, pomyślałem. I znowu skurcz serca i znowu jęk nieczystego sumienia.

Rozległ się huczący głos pod sklepieniem stodoły, wołający mnie po imieniu: René. Zobaczyłem najpierw sylwetkę Leona i dwóch niemieckich żołnierzy, naszego wachmana z bagnetem na broni i obcego jakiegoś podoficera, z futerałem rewolweru przy pasie. Obaj o wyglądzie sztywnym, bardzo służbowym. Uderzył mnie wyraz twarzy Leona — była to twarz, z której uciekła wszystka krew, twarz biała.

Miałem w ręku widły, na których się oparłem, nie mogąc uczynić kroku naprzód. Miałem na twarzy chustkę i byłem rad nagle, że zasłania jej wyraz, nie wiem, bladość czy nagły przypływ krwi.

— Przyszedł się pożegnać — powiedział sucho wachman, a podoficer przyglądał mi się z zimną, natrętną intensywnością przymrużonych surowo źrenic. Leon uczepił się błagalnymi oczami swojej białej, straszliwej twarzy mojego wzroku. I tylko wzrokiem mogłem do niego mówić.

Powiedział po francusku:

— Zabierają mnie, wszystko skończone.

Ale podoficer przerwał ostro:

— Mówić po niemiecku

Czułem, że przyprowadzili go tutaj, aby wybadać moją reakcję. Leon chwycił mnie za rękę, rękę miał zimną, drżącą:

— Powiedz kolegom — zaczął... I nie mógł skończyć.

Mówiłem spod chustki zasłaniającej mi usta, nieswoim, sztucznym, silącym się na obojętność głosem:

— Dobrze, powiem. A ty trzymaj się. Życzę ci wszystkiego najlepszego.

Wszystkiego najlepszego. Z tymi słowami zostałem, dusząc się nimi, dławiąc się nimi jeszcze przez wiele dni, przez całe tygodnie. Że też nic innego nie mogłem znaleźć w takiej chwili, nic innego wymyśleć. Żadną radą, żadną pomocą, wesprzeć go i podtrzymać. Wszystkiego najlepszego! Chciało mi się śmiać i podrzeć zębami chustkę, zasłaniającą mi usta i wyszarpnąć się wreszcie z tej roli, która mnie pozbawia człowieczeństwa, która ze mnie robi błazna, durnia, idiotę, bez prawa do prawdy, bez wartości dla najbliższych nawet przyjaciół. I to w tak rozdzierającej chwili. Zapomniałem o sianie, o widłach, wyskoczyłem na próg stodoły, aby zobaczyć jeszcze na drodze sylwetkę Leona prowadzonego pod eskortą — dokąd? Wyobraźnia podpowiadała jak w gorączce: po raz ostatni, po raz ostatni go widzisz, patrz, patrz i zapamiętaj. A potem rozszerzał się obraz i rozrastał w innym wymiarze: to twoja droga. Może za parę dni pójdziesz odprowadzony tak samo?...

Opamiętał mnie widok Staśka, który wprowadził już do stajni konie i wrócił, niespostrzeżony. I widział wszystko. I patrzał teraz w stronę odchodzących, na swój sposób przejęty i pełen lęku.

— Was ist Ryne? — zapytał tonem niezmiernie ludzkim, przyjacielskim i przerażonym.

— Sam widzisz — odpowiedziałem, unikając jego wzroku, kryjąc swój wyraz twarzy pod maską chustki.

— Wydali go, powiedzieli, że Polak, teraz masz. — Brzmiało to gorzko i skarżąco.

— Co mu zrobią? — zapytał znowu Stasiek, pokorny i przeniknięty uczuciem wielkiego nieszczęścia.

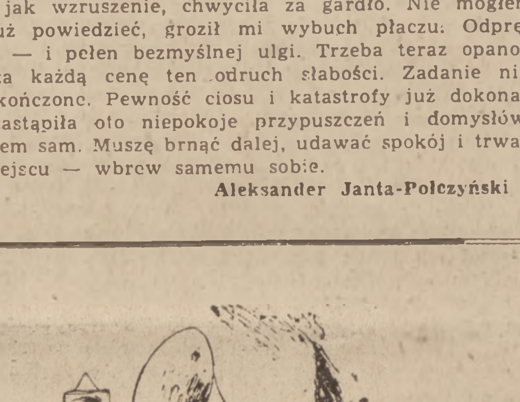
— Nie wiem — odciąłem krótko. — Nic dobrego z tego na pewno nie wyjdzie. Nie wiem...

Wróciliśmy do roboty, onieśmieleni, wstrząśnięci wspólnym przeżyciem.

— To był już polski oficer — powiedział Stasiek w nagłym przypływie żalu. — Szkoda go. To był nasz człowiek...

Napięcie dwóch dni ostatnich, ich żywa treść podsumowana nagle tymi prostymi słowy, przemówiła do mnie jak wzruszenie, chwyciła za gardło. Nie mogłem nic już powiedzieć, groził mi wybuch płaczu. Odprężający — i pełen bezmyślnej ulgi. Trzeba teraz opanować za każdą cenę ten odruch słabości. Zadanie nie jest skończone. Pewność ciosu i katastrofy już dokonanej, zastąpiła oto niepokoje przypuszczeń i domysłów. Zostałem sam. Muszę brnąć dalej, udawać spokój i trwać na miejscu — wbrew samemu sobie.

**Aleksander Janta-Połczyński**



*— Nie, drogi przyjacielu, nie umiem grać na trąbie, ale to mnie rozgrzewa.*

(„Les Lettres français" — Paryż)

*Marian Weralski*

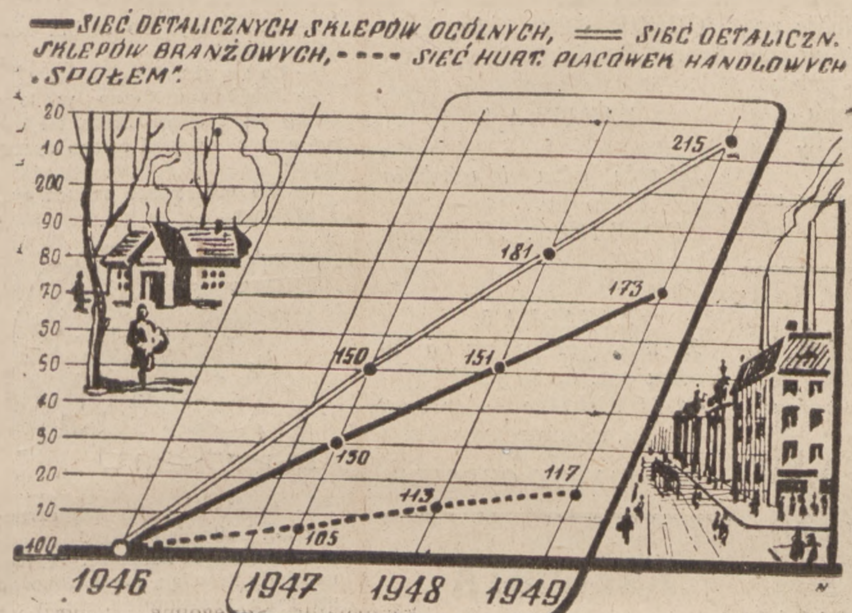
# PLAN TRZYLETNI
## W SEKTORZE SPÓŁDZIELCZYM (III)

Plan obrotów na najbliższe trzylecie przewiduje następujące cyfry w milionach złotych, według cen z 1937 r.

| | 1946 r. | 1947 r. | 1948 r. | 1949 r. |
|---|---|---|---|---|
| Obroty „Społem" | 1.697 | 2.021 | 2.698 | 3.191 |
| Obroty spółdz. ter. | 1.060 | 1.943 | 2.508 | 3.585 |
| Razem . . | 2.757 | 3.964 | 5.206 | 6.776 |

Poniższe wskaźniki obrazują wzrost obrotów odcinka spółdzielczego:

**KRZYWE WZROSTU OBROTU W SEKTORZE SPÓŁDZIELCZYM (RYS. 8)**

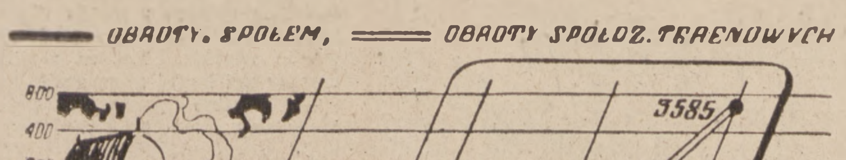



Jak już powyżej wspomniano, plan produkcji przemysłowej i obrotów jest punktem wyjściowym gospodarczego planu odcinka spółdzielczego. Plan ten uzupełniony jest szczegółowymi planami finansowymi, inwestycyjnymi, planami zatrudnienia i szkolenia itd. W szczególności bardzo dokładnie zostały przepracowane poszczególne odcinki sektora spółdzielczego, jak obrót mlekiem i jego przetworami poprzez sieć spółdzielni mleczarskich, zbiornic jajczarskich i wydziału mleczarsko-jajczarskiego „Społem" obrót rybami poprzez sieć spółdzielni rybackich i centralę rybną, obrót produktami ogrodniczymi. Szczegółowo również przewidziany został plan gospodarczy spółdzielczości Samopomocy Chłopskiej itd.

Na jedno jeszcze zagadnienie chcemy zwrócić uwagę, omawiając ogólne zarysy planu gospodarczego sektora spółdzielczego, to jest na dostosowanie w okresie nadchodzącego trzylecia sieci detalicznej sklepów spółdzielczych do rozszerzającej się działalności gospodarczej. Poniższa tabelka obrazuje plan w tej dziedzinie.

| | 1946 r. | 1947 r. | 1948 r. | 1949 r. |
|---|---|---|---|---|
| Spółdz. sklepy ogólne | 10.060 | 13.100 | 15.200 | 17.500 |
| Spółdz. sklepy branż. | 3.514 | 5.286 | 6.368 | 7.586 |
| Sieć placówek własnych „Społem" (hurtowych) | 360 | 379 | 407 | 422 |

**ROZWÓJ SIECI HANDLOWEJ W SEKTORZE SPÓŁDZIELCZYM (RYS. 7)**




Poniższy wykres uwidacznia wskaźniki rozwoju sieci spółdzielczej:

Wszystkie te cyfry i wykresy obrazują tylko plan gospodarczy sektora spółdzielczego w tym zakresie, w jakim przemysł i handel znajduje się w rękach spółdzielczości. Jak wiadomo jednak ustawa z dnia 3 stycznia 1946 r. o nacjonalizacji przemysłu przewiduje przekazanie spółdzielczości szeregu przedsiębiorstw i gałęzi wytwórczych. Trzyletni plan spółdzielczy przewiduje, że przekazywanie to powinno kierować się następującymi przesłankami. Przede wszystkim będą przekazane te gałęzie wytwórcze, które ważne są dla spółdzielczości ze względów aprowizacyjnych, następnie te gałęzie wytwórczości w których spółdzielczość ma największy udział. Poza tym gałęzie wymagające racjonalizacji, a wreszcie te, w których będą musiały powstawać nowe typy spółdzielni dla ich prowadzenia.

Po przejęciu przeto w roku 1946 przemysłu młyńsko - piekarnianego, przewiduje się w roku 1947 przejęcie przez spółdzielczość przemysłu surogatów kawowych i namiastek spożywczych, przemysłu cukierniczego, piwowarsko - słodowniczego, ziemniaczanego i drożdżowego. W roku 1948 przemysłu winiarskiego i konserwowego, w roku 1949 przemysłu olejarskiego i cukrowniczego. Z chwilą przejęcia poszczególnych gałęzi przemysłu, odpowiedni plan opracowany dla danej branży w ramach zjednoczenia państwowego, stanie się automatycznie częścią planu gospodarczego sektora spółdzielczego.

Tak się przedstawia w ogólnych zarysach plan gospodarczy na najbliższe 3 lata w sektorze spółdzielczym.

Ze względu na ograniczenie miejsca można było dać tutaj tylko najogólniej zakreśloną notatkę tego planu. O celach planu gospodarczego w sektorze spółdzielczym oraz o środkach i sposobach jego przeprowadzenia trzeba będzie napisać osobno.

# Spółdzielczość łączy w sobie planowość ze swobodą gospodarczą jednostki

*Drugi wieczór dyskusyjny w klubie spółdzielczym*

W Nr 8 „Tygodnia" pisaliśmy o powstaniu spółdzielczego klubu dyskusyjnego i o dyskusji na temat struktury spółdzielczości wiejskiej.

W dniu 1 marca w gmachu „Społem", przy ul. Grażyny 13, odbył się drugi wieczór dyskusyjny, poświęcony powyższemu zagadnieniu przy udziale całego aktywu spółdzielczego stolicy. Główny referent, pełnomocnik Związku „Społem", J. Dominko, przytoczył na początku wieczoru dyskusyjnego z niepublikowanych materiałów pośmiertnych Mariana Rapackiego, jego rozważania na temat uniwersalizmu i specjalizacji. „Zwolennicy uniwersalizmu" pisał Rapacki „to znaczy, połączenia szeregu funkcji gospodarczych w jednej spółdzielni, wysuwają następujące argumenty:

a) brak ludzi wyrobionych społecznie i gospodarczo na wsi i w związku z tym trudność wynalezienia odpowiedniej ilości członków zarządów i rad nadzorczych szeregu spółdzielni specjalizowanych;

b) oszczędność kosztów handlowych przez prowadzenie wspólnego biura, buchalterii, kasy itp., ewentualnie możliwość zaangażowania wspólnego fachowego, zawodowo zatrudnionego kierownika;

c) poprawa rentowności spółdzielni o trudniejszym obrocie, szczególniej sezonowym, przez wprowadzenie działów pomocniczych więcej rentownych.

Przeciw tym argumentom wysuwane są przez zwolenników specjalizacji następujące kontrargumenty:

a) specjalizacja w spółdzielniach zarządzanych przez samych bezpośrednio zainteresowanych dać musi zasadniczo najlepsze rezultaty, ponieważ w interesie własnym wywołuje największy wysiłek w kierunku największego zainteresowania członków i kierownictwa spośród tych członków powołanego;

b) wielość spółdzielni specjalizowanych przy stosunkowo niewielkich ich rozmiarach, prostej konstrukcji i nieskomplikowanej gospodarce daje możność łatwego opanowania danej dziedziny przez nawet niedostatecznie przygotowane jednostki, a w sumie przeszkala społecznie i gospodarczo wielką ilość jednostek w środowisku wiejskim, podnosząc znacznie poziom jego wyrobienia w tej dziedzinie. Pamiętać należy, że jedyną szkołą demokracji, a więc i demokracji gospodarczej jest uprawnienie samorządności, a nie usuwanie od niej szerokich mas społecznych pod pozorem ich niewyrobienia, czy też nieprzygotowania;

c) uniwersalizacja prowadzi zawsze do przewagi pewnego działu pracy nad innymi, a wskutek tego do zaniedbania innych. Najczęściej tym przeważającym działem będzie dział najłatwiejszy lub najwięcej rentowny, zaniedbane zaś zostają działy często o wiele ważniejsze dla drobnego rolnictwa. Tak na przykład w spółdzielni rolniczo - spożywczej, czy rolniczo - handlowej o asortymencie mieszanym zaniedbuje się dział rolniczy i skup płodów rolnych, który przedstawia dla kierownictwa większe trudności;

d) uniwersalizacja pozwala ukrywać niedociągnięcia i błędy w pewnym dziale przez pokrywanie powstałych z tego powodu strat nadwyżkami innych działów. Utrudnione jest w ten sposób usuwanie tych niedociągnięć i błędów i zmniejszona odpowiedzialność kierownictwa".

„Braki, jakie może w pewnych wypadkach wykazywać specjalizacja, wydaje się usuwać system współdziałania różnych rodzajów spółdzielni, znajdujących się w jednym terenie" i jako przykład przytacza Rapacki Wartkowice w pow. łęczyckim" gdzie ściśle współpracowały ze sobą wiejska spółdzielnia spożywców, kasa Stefczyka i spółdzielnia maślarska. Współdziałanie polegało: 1) na utrzymaniu wspólnego buchaltera zawodowego dla prowadzenia odrębnej buchalterii dla każdej spółdzielni, 2) na podjęciu się przez kasę Stefczyka roli kasjera dla wszystkich trzech spółdzielni, 3) na wydawaniu artykułów spożywczych i gospodarstwa domowego przez spółdzielnię spożywców wzamian za kwity rozliczeniowe spółdzielni maślarskiej, wydawane za dostawy mleka, 4) na zgromadzeniu wszystkich trzech spółdzielni w budynku Domu Ludowego, wybudowanego przez najstarszą i najzasobniejszą spółdzielnię spożywców".

Blisko czterogodzinną dyskusję można zreasumować jako zwycięstwo koncepcji spółdzielni uniwersalnej. Stwierdzono, że gmina jako baza operatywna spółdzielni uniwersalnej może jej dać dość znaczną siłę gospodarczą, w przeciwieństwie do małych spółdzielni specjalnych często bardzo gospodarczo słabych. Jednocześnie gmina nie jest zbyt wielkim terenem i umożliwia ścisłą więź między spółdzielnią a jej członkami, co np. przy spółdzielniach powiatowych najczęściej jest wykluczone. W ten sposób spółdzelnia gminna jest bliska optimum jako przedsiębiorstwo i bliska optimum jako zrzeszenie osób. Ze spółdzielni gminnej musi być wyłączony szereg zagadnień, które ze względów natury gospodarczej nie da się w gminie zamknąć jak np. mleczarstwo, zagadnienia mięsne, spółdzielnie kredytowe, składy włókiennicze itp. O większej lub mniejszej uniwersalności spółdzielni w danej gminie decydować będą konkretne warunki gospodarcze danej gminy.

Zamykając dyskusję, prezes Związku „Społem" J. Żerkowski stwierdził, że ustalenie struktury spółdzielczości wiejskiej umożliwi jej wykonanie na odcinku wsi zakreślonego w trzyletnim planie odbudowy zakresu pracy. Spółdzielczość jako ruch społeczno - gospodarczy nie da się zepchnąć do roli buchalterów i magazynierów, lecz wspólnie z ruchami zawodowymi i politycznymi stanie się dźwignią postępu gospodarczego wsi. Kończąc, prezes Żerkowski zaznaczył, że ruch spółdzielni idealnie łączy swobodę gospodarczą jednostki z ogólnonarodowym planem gospodarczym.

# DLA *małych dzieci* BAJECZKI DLA *dużych dzieci*

## GRY I ZABAWY

**Różne piękne są zabawy,
niech posłucha ,kto ciekawy:**



**„W chowanego" grają z nami
(czyli z interesantami)
dyrektorzy, kierownicy
tudzież inni urzędnicy.**




**„W łapki" grają ci i owi,
gra też portier hotelowy.
Jak nie zagrasz z nim, kochanie,
to pokoju nie dostaniesz!**



**„W drobną kaszkę" małe bączki
lubią kręcić się za rączki.
Nieco większe, całą zgrają
„w drobną kaszkę" się wlewają.**



**A w „szarady i zagadki"
inne znów się bawią dziatki;
To Przybosie, to „poeci",
strzeżcie ich się, drogie dzieci!**



**Jeszcze jedna jest zabawa,
wciąż uprawia ją Warszawa.
Wielu tutaj gra z przejęciem
„w komórki do wynajęcia".**

***Janusz Odrowąż***

# Co to jest?

*ZAGADKA 1.*

*Na twardych pryczach leżą ludzie. Prycze ustawione jedna nad drugą w trzech piętrach, są wąskie i ciasne. Człowiek śpiący na samej górze włazi po twarzach ludzi, śpiących niżej. Ludzie klną. Nikt się nie rozbiera, bo nie ma na to miejsca ani na pryczach, ani między nimi. Co to jest?*

*ODPOWIEDŹ: Wagon sypialny PKP.*

*ZAGADKA 2.*

*Tajemnicza jak sfinks. Pożądasz, pragniesz ją mieć, choć nie wiesz dobrze, co ci przyniesie. Nawet gdy ją zdobędziesz w wielu szczegółach pozostaje dla ciebie zagadką. Dopiero po pewnym czasie dochodzisz do przekonania, że właściwie ona cała funta kłaków nie warta. Co to jest?*

*ODPOWIEDŹ: Paczka unrrowska.*

*ZAGADKA 3.*

*Swojski zapach świeżego siana miesza się z ostrą wonią końskich pączków. Całość kopie nie gorzej od konia. Co to jest?*

*ODPOWIEDŹ: Papieros firmy „Swojak".*

*ZAGADKA 4.*

*Jęknęła góra i urodziła mysz. Co to jest?*

*ODPOWIEDŹ: „Zakazane piosenki".*

*ZAGADKA 5.*

*Z zewnątrz mięso, a w środku gaz. Co to jest?*

*ODPOWIEDŹ: Autor tego felietonu, wieczorową porą.*

*JANUSZ ODROWĄŻ*

## Zawody hokejowe w Pradze



**Drużyna polska**



**Polska — Belgia**



Rumunia — Polska (Fot. Cechopress)

## ANEGDOTA HISTORYCZNA

**Mądre wytłumaczenie**

Perykles (499 — 429 przed Chr.), największy ateński mąż stanu, wódz i opiekun sztuk i nauk, z początkiem wojny peloponeskiej przygotował doskonałą flotę, wyposażył ją w ludzi i broń, i gotów był do wypłynięcia z portu Pireus na morze przeciw Spartańczykom. Nagle złowieszczy mrok padł na ziemię. Sternik okrętu, którym miał jechać sam Perykles, pobladł z przestrachu, widząc w zjawisku złą wróżbę, i nie chciał wyruszyć. Wówczas Perykles zdjął szybkim ruchem płaszcz z ramion i zarzucił go na głowę sternika.



— Czy widzisz w tym jakiś omen? — zapytał: — czy się lękasz tego?

— Nie — odrzekł sternik.

— Jakaż jest różnica pomiędzy moim płaszczem, który przysłania ci oczy, a tą plamą, co przysłoniła nam na chwilę słońce? Chyba tylko ta, że owa plama jest większa.

I sternik i załoga okrętu z okrzykami na cześć Peryklesa wypłynęli z portu, a za nimi cała flota — ku zwycięstwu.

## Przygody Zagłoby



**— Bij, zabij! Do szabel mościpanowie!**

**— Co się stało?**

**— Jakiś oczajdusza w trzy karty mnie ograł! Mnie, najtęższą głowę wśród całego rycerstwa!**

**— No cóż, panie szanowny... Warszawa...**




**— Smakuje panu szanownemu ten kotlecik z ryby?**

**— Smakuje mosanie. Tylko, uczciwie mówiąc, nie bardzo on mi rybę przypomina. tłustego wieprza prędzej. Jakże to w dzień bezmięsny być może?**

**— Warszawa, panie dziedzicu. Warszawa...**



**— Dobry człowieku, kpisz sobie, czy o drogę pytasz? Ja mam w tym pokoju mieszkać? W ścianach dziury, z sufitu woda kapie, przez okno po drabinie trzeba włazić... Toż za moich czasów psi lepiej mieszkali!**

**— Trudno panie likator... Warszawa...**



**— Jeszcze jednego nijak pojąć nie mogę: poco ja tu siedzę? Tłoczno, brudno, cegły mi na łeb spadają, wydrwigroszów pełno, do kina dostać się nie można. do Miejskich Teatrów Dramatycznych nie warto... A jednak to miasto mi tak miłe i opuścić go nie chcę.**

**— Wiadomo. panie Zagłoba. Warszawa!**

# SKLEROZA

### CO TYDZIEŃ NAGRODA

W ubiegłym tygodniu nagroda 150 zł została podzielona: 75 zł otrzymał Zbigniew Palewski (Wrocław, ul. Sępa Szarzyńskiego 47 m. 3) za wycinek ze „Słowa Polskiego" i 75 zł Józef Kazimirski (Łódź, ul. Henryka 17) za wycinek z „Dziennika Łódzkiego".

### A JEDNAK JEST RÓŻNICA

**Czerwony Krzyż niedługo zajmie się odnalezieniem dzieł polskich, które pod niemieckimi nazwiskami błąkają się jeszcze po Niemczech. Rodzice z Zamojszczyzny i innych dzielnic kraju, cieszcie się, bo wasze dzieła już niedługo powrócą do swoich rodzin** („Słowo Polskie" nr 11).

Ostatecznie, po zastanowieniu się i głębokim namyśle, zaczynamy wątpić, czy notatka powyższa jest dowodem sklerozy jej autora. Nie ulega bowiem wątpliwości, że dziecko jest dziełem swych rodziców. I nawet brzmienia obydwóch słów — dziecko, dzieło — są podobne. Ale — rzecz dziwna: posługując się obydwoma wyrazami, przywykliśmy jednak rozróżniać ich znaczenie.

### TU JUŻ WYRAŻNA SKLEROZA

**Jednym z przejawów bezsensu i szkodliwości churchillowskiej manii dzielenia świata na obszary Zachodu i Wschodu była piękna manifestacja solidarności pacyfistycznej i sympatii wzajemnej „zachodniej" Belgii i „środkowej" Polski, jakiej widownią w ostatnich dniach r. 1946 stała się Warszawa z okazji wizyty belgijskiego ministra odbudowy.** („Dziennik Łódzki" nr 4).

Z powyższego dowiadujemy się, że: 1) dzielenie świata na obszary Zachodu i Wschodu jest manią, i to szkodliwą i bezsensowną; idąc logicznie dalej, będziemy musieli stwierdzić, że taką samą manią jest podział świata na Północ i Południe; 2) przejawem bezsensu i szkodliwości tej manii jest przyjaźń polsko - belgijska; 3) twórcą tej manii jest Churchill, a więc — o zgrozo! — przyjaźń polsko - belgijska wypływa z bezsensownej i szkodliwej manii Churchilla. Stare przysłowia powiadają: jaka mać, taka nać; jakie drzewo, taki klin — jaki ojciec, taki syn. Jeżeli twórcą — czyli rodzicem — tych wszystkich nonsensów i bzdur jest Churchill, czemże może być przyjaźń polsko - belgijska? A nam się wydawało, że jest ona przejawem zdrowego sensu i mądrej myśli politycznej Polaków i Belgijczyków.

### POMYSŁOWI AMERYKANIE

**Kryzys mieszkaniowy w USA daje się dotkliwie odczuć Amerykanom. W kraju radia, samochodów, telefonów — tysiące ludzi od początku wojny żyje w dwóch małych pokoikach, gdzie kołyska dziecka stoi obok maszynki do gotowania matki** („Dziennik Ludowy" nr 8/482).

Jeżeli tysiące ludzi żyje w dwóch małych pokoikach, nadmiar lokatorów istotnie trzeba likwidować. Kraj radia, samochodów, telefonów i — dodajmy z naciskiem — fotela elektrycznego, i w tym wypadku wykazał niezwykłą pomysłowość techniczną: wynalazł maszynki do gotowania. Zapyta ktoś: dlaczego specjalnie do gotowania matek? Bardzo proste: jest to element (po zużytkowaniu go) najmniej potrzebny. Wydałaś na świat dzieci — i siup do maszynki.

S.


TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Oddział w Łodzi, ul. Mariana Nowotki (dawniej Pomorska) 37
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna zł 40.
Konto PKO, Łódź VII nr. 4321
Ogłoszenia: za 1 mm. wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.
Druk: Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka", Warszawa, Smolna 12 B-19787


# TYDZIEŃ DOBREJ GOSPODYNI





Przed dwoma tygodniami podaliśmy dwa modele bluzek. Ponieważ w nadchodzącym sezonie wiosennym najczęściej noszone będą kostiumy — zarówno angielskie, jak francuskie, trzyćwierciowe, sprawienie sobie kilku bluzek, noszonych na zmianę, okaże się z pewnością rzeczą konieczną. Oto jeszcze dwa ładne a zarazem skromne fasony.

### ZUPA RYBNA Z KLUSECZKAMI

Oczywiście głowy ryb wraz z pokrajaną włoszczyzną, cebulą i kilkoma ziarnkami pieprzu zalać dwoma litrami wody i gotować godzinę. Przetrzeć przez gęsty durszlak, przelewając smakiem, którego po wygotowaniu nie powinno być więcej, niż półtora litra. Zasmażyć łyżkę masła i pół łyżki mąki, zaprawić tą zasmażką zupę, i wylać ją do wazy na ugotowane uprzednio, cienko pokrajane kluseczki, łazanki lub przestudzoną i w kostkę krajaną kaszkę. Kto lubi zupy o mocniejszym smaku, może dodać do wazy parę łyżek śmietany lub rozbite żółtko.

### JEDZMY POŻYWNE ŚNIADANIA

Rozpocząć dzień z ochotą do pracy i pracować bez zmęczenia cały dzień może ten, komu śniadanie dostarczyło dużego zapasu energii. Na śniadanie lekkie i pożywne, doskonale nadają się płatki owsiane, których tak dużo otrzymujemy na kartki i często nie wiemy, co z nimi począć. Płatki zawierają dużo odżywczych związków w postaci węglowodanów i białka, zwiększających zdolność do wydajniejszej pracy. Przy gotowanie płatków owsianych jest bardzo łatwe i nie zajmuje wiele czasu.

### ZUPA Z PŁATKÓW OWSIANYCH

3 łyżki stołowe płatków zagotować z odrobiną soli w pół litrze wody, aż do rozgotowania się płatków. Następnie cedzi się zupę przez sito i przyrządza się — smaku doda najlepiej 1 żółtko, śmietana lub masło.

Inny sposób przyrządzania płatków 3 łyżki płatków, pół litra wody i trochę soli zagotować na gęstą papkę. Przyprawić zarumienionym masłem, można też dodać śmietany i trochę osłodzić.

**Makaroniki z płatków** są bardzo smaczne. 4 łyżki płatków, 1 deko drobno pokrajanych migdałów, 1 deko laskowych mielonych orzechów, zarumienić należy na sucho na ogniu. Następnie rozciera się 2 żółtka na pianę z dodaniem 5 deka cukru, dodaje się 2 deka pszennej mąki, trochę kwasku cytrynowego i zarumienione płatki owsiane. Ubite na pianę białka należy wymieszać z masą, z masy formować małe okrągłe placuszki, które nakłada się na posmarowaną masłem blachę i piecze do sucha w piecu.

## Konkurs autorski na rozrywki umysłowe

**Trzeci konkurs rozrywek umysłowych zakończymy za dwa tygodnie, poczym ogłosimy czwarty. W celu urozmaicenia konkursu prosimy wszystkich miłośników rozrywek umysłowych o nadsyłanie różnego typu zadań do konkursu, które o ile okażą się dobre, ciekawe i pomysłowe zostaną umieszczone w ramach czwartego konkursu. Czytelnicy wybiorą spośród tych zadań — trzy najlepsze, za które przyznane będą specjalne nagrody autorskie.**

**Ubiegający się o nagrodę autorską, nie mają obowiązku opracowania graficznego, lecz tylko podanie: pomysłu schematu układu i treści rozwiązania. Układem graficznym i rysunkiem zajmiemy się sami (nie wyklucza to oczywiście dokładnego opracowania przez autora pomysłu).**

## TRZECI KONKURS „TYGODNIA"
## NA REBUSY I KRZYŻÓWKI

W numerze 3 (27) ogłosiliśmy III konkurs „Tygodnia" na rebusy i krzyżówki, które podawać będziemy w 10 kolejnych numerach. Na prośbę czytelników wprowadzamy nagrody książkowe.

Jako nagrody Redakcja przeznacza: 30 nagród książkowych, 20 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidłowe rozwiązania każdego zadania, przyznane będą 3 punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi nadsyłać należy po zakończeniu konkursu do dnia 1 kwietnia br. do Red. „Tygodnia" — Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.

(Ul. R. Mialkowski).




# KRONIKA KULTURALNA

**PIĘKNE WSPOMNIENIE** pośmiertne w „Polsce Zbrojnej" (Nr 50/648) poświęca zmarłemu przed miesiącem Gustawowi Przychockiemu uczeń jego — ppłk. Adam Korta. Profesor Przychocki był nie tylko znakomitym filologiem i — w szczególności — niedościgłym znawcą Plauta. Był to również dzielny żołnierz artylerzysta, który odbył pierwszą wojnę światową i wojny polskie w latach 1918 — 1920. Wówczas to organizował 36 pułk Legii Akademickiej. Miał Virtuti Militari i Krzyż Walecznych. We wrześniu r. 1939 jako podpułkownik rezerwy powrócił do szeregów; po klęsce przeszedł na Węgry. Ppłk. Korta pisze: „Cesarz August powiedział niegdyś o Cyceronie: mądry człowiek, mądry i kochający ojczyznę. Dziś, gdy stoimy wobec śmierci prof. Przychockiego, trudno znaleźć i dla niego trafniejszą charakterystykę".

●

**W KILKU NUMERACH** „Rzeczypospolitej" (nr nr 49, 50, 51) p. Zofia Wójtowicz ogłasza (pt. „Na krawędzi") rodzaj reportażu czy też opisu Tworek — tj. szpitala i jego umysłowo chorych. Być może pamiętamy — w wielkim stylu i z wielką znajomością rzeczy, psychologicznie i psychiatrycznie głęboki taki reportaż z Tworek pióra Michała Choromańskiego (autora „Zazdrości i medycyny") w „Wiadomościach Literackich" na kilka lat przed wojną. Ambicje literackie pani Wójtowicz nie sięgają tak daleko. Opisując wiernie i z dużym współczuciem poszczególne przypadki chorób umysłowych, zwłaszcza u kobiet, zwraca ona uwagę na ogromną ilość chorych. Ilość ta, oczywista, w znacznym stopniu jest złym owocem wojny. „Schizofrenia, schizofrenia — pisze pani Wójtowicz — co krok spotykana w Tworkach, tajemnicza choroba, zagrażająca współczesnemu życiu psychicznemu ludzkości. Przeszło 50 proc. chorych psychicznie świata — to schizofrenicy".

●

**„ZESZYTY WROCŁAWSKIE"** — pod takim tytułem Koło Miłośników Literatury i Języka Polskiego we Wrocławiu rozpoczęło swe kwartalne wydawnictwo pod redakcją Anny Kowalskiej i Tadeusza Mikulskiego. Wyszedł zeszyt pierwszy na r. 1947 — formatu większej książki, o 88 stronach czystego i pięknego druku, na bardzo dobrym papierze. Rzec można — wydawnictwo, godnie reprezentujące kulturę polską na Ziemiach Odzyskanych. W zeszycie pierwszym znajdujemy pięć obszerniejszych prac: T. Mikulskiego „Niemcewicza na koźle", Jerzego Kowalskiego „Studia o literaturze rzymskiej", Stanisława Kolbuszewskiego „Wizję Henryka Wtórego", Stanisława Rosponda „Pisarza i jego słowo" oraz Andrzeja Jochelsona „Dwa kościoły naprzeciw siebie". Poza tym „Kronikę" kulturalną Wrocławia, na którą się składa omówienie „czwartków literackich" i życia teatralno - muzycznego. Wszystkie prace w „Zeszytach" stoją na szlachetnym i wysokim poziomie — możnaby nawet powiedzieć: za wysokim dla przeciętnego dziś inteligenta, o wiele wyższym od poziomu naszych tygodników kulturalno - literackich, i — co należy podkreślić — w pracach tych uprawia się kulturę czystą, nie naginaną do takich czy innych potrzeb chwili bieżącej. Ale kto wie? Być może w tym Wrocławiu osiedliła się istotnie dobra, wyborowa część inteligencji polskiej, wolna od karierowiczostwa i podskakiewiczostwa, daleka od różnych interesików, a ożywiona szczytną intencją uczciwego „przepolszczenia" ziem tamtych. Jeden z naszych myślicieli powiedział: Polska powinna przyciągać wielkością duszy. Więc może „Zeszyty Wrocławskie" odpowiadają dążnościom tamtejszych pionierów. Sądząc ze sprawozdania z wrocławskich „czwartków literackich", uczestnicy ich — i miejscowi i przyjezdni — mają wysokie pojęcie o obowiązkach społecznych, narodowych i kulturalnych pisarza.

*Stefania Grodzieńska*

# GRYPA

Przeżywamy straszliwą epidemię. Wiadomo, że w czasie epidemii należy się separować. O tym wie nawet małe dziecko. Ale kto się ma separować, kiedy wszyscy mają grypę?

Społeczeństwo podzieliło się na trzy obozy. na które składają się: pogrypowcy, grypowcy i przedgrypowcy. Typ pierwszy, czyli pogrypowcy, przybiera na ogół ton protekcjonalny.



*Słowu „takie“ towarzyszy gest, mogący również dobrze określać duży biust.*

— Prędzej, czy później każdy musi przejść grypę. Lepiej się wcześniej pozbyć. Kiedy ja miałem grypę, jeszcze bardzo mało osób chorowało — dodają snobistycznie.

Elegancko jest bowiem przejść grypę w okresie mniejszego nasilenia. Pogrypowcy mają zwyczaj zalecać swój gatunek grypy.

— Najgorsza jest niska temperatura — twierdzą jedni. — Wtedy się wlecze i wlecze. Ja miałem 40-ci stopni i na trzeci dzień byłem już w biurze.

— Ha, ha, ha! — wybucha zjadliwym śmiechem zwolennik niższej temperatury — już ja wolę nie mieć 40-stu stopni. Wymęczy się człowiek, serce może nie wytrzymać... Moja najwyższa temperatura była 37,4. Nawet nie czułem, że jestem chory. Poleżałem, wypocząłem, wyspałem się nareszcie i już.

Pogrypowiec patrzy na przedgrypowca z tajonym lekceważeniem i okazuje mu współczucie.

— Niech pan uważa, panie, bo łatwo się zarazić. Mnie to już nie dotyczy, ja już po.

Grypowcy porozumiewają się między sobą doskonale, co nie znaczy, aby i między nimi nie zdarzały się rozłamy. Dzieje się to głównie na tle stosunku do baniek. Bo proszę zwrócić uwagę, że o lekarstwach dyskutuje się, czy pomagają, czy nie i dopuszczalna jest zmiana zdania. Natomiast w stosunku do baniek obowiązuje bardziej mistyczne podejście. W bańki się wierzy, albo się nie wierzy. Grypowcy dzielą się właśnie na tę dwie sekty.

— To przynajmniej nie lipa — twierdzi wierzący w bańki — bańki wyciągną z człowieka całą chorobę. Panie, u mnie tak naciągnęły, że t a k i e góry mi się na plecach porobiły.

Przy czym słowu „takie“ towarzyszy gest, mogący również dobrze określić duży biust.

— Widocznie były panu potrzebne — dodaje zwykle współwyznawca bańkowca.

— Ja tam w bańki nie wierzę — mówi stanowczo antybańkowiec — babski środek.

Ulubionym tematem rozmów między grypowcami jest ustalanie metody, za pomocą której się kto zaraził.

— Zastanawiam się, skąd ja tę grypę przywlokłem. Może od Pipsztyckich. Po tym przyjęciu u nich trzy osoby się położyły.

— A gdzie ja się mogłem zarazić? Nigdzie nie bywam. Ale człowiek jedzie tramwajem i nie wie, kto koło niego siedzi.

Pogrypowcy z grypowcami zawsze znajdą wspólną platformę.

Natomiast obóz zdecydowanie odosobniony, to przedgrypowcy.

— Ja się nie zarażam — chwali się przedgrypowiec dwa dni przed położeniem się do łóżka. — Bywam u znajomych, którzy mają grypę. Nie się nie boję. Ten, co się nie boi, to się nigdy nie zarazi, tylko ten, co się trzęsie.

Ale ten typ przedgrypowca jest jeszcze do zniesienia. Dużo gorszy jest drugi typ.

— Już czuję, że mam grypę... — jęczy nieustannie — kości mnie łamią, oczami nie mogę ruszać, w gardle mnie drapie, do łóżka mnie ciągnie. Niech pan się do mnie nie zbliża, bo się pan zarazi.

I łazi zdrów.

— Na pewno już miałem grypę, tylko przechodziłem. Ja nie mam zwyczaju od razu się kłaść. O, ja, żebym się położył, to już trzeba, bo ja wiem czego.

Nie przejmujmy się tym. Tak zwana grypa przechodzona jest tylko wymówką ambitnych przedgrypowców.

Ale dosyć o grypie. Ten temat naprawdę już się wszystkim znudził. Chętnie zainteresowałabym się czym innym. zwłaszcza, że mnie kości łamią, nie mogę ruszać oczami i drapie mnie w gardle.

# MIESZKANKI METROPOLII ZIMĄ



*Warszawa. Paryż. Londyn. New York.*

**Mroźne zimy zdarzały się wprawdzie we wschodniej Europie, ale moda, kreowana na Zachodzie, nie brała wcale w rachubę, że coś takiego może się przytrafić również w słonecznej Francji lub mglistej Anglii.**

**Ale tegoroczna zima postawiła przed mieszkankami wszystkich metropolii nowy problem do rozwiązania: jak ubrać się elegancko i jednocześnie tak, ażeby nie zmarznąć.**

**W Londynie, gdzie futra nie są zbyt rozpowszechnione i raczej widuje się w teatrze sorties wieczorowe niż na ulicy solidne futra, chroniące od zimna, Angielka wyszła na śnieg w luźnym sportowym płaszczu, doskonałym na deszcz i mgłę, ale stanowczo nie na mróz. Za to głowę omotała ciepłym szalikiem — „Made in Scotland“ i „Pure wool“ — skryła w niego brodę i miała złudzenie, że jest jej ciepło.**

**Lepiej od Angielki przygotowana na zimę była mieszkanka New Yorku. Na głowę nałożyła obcisłą czapeczkę zapiętą pod brodą, ubrała się w ciepły płaszcz, obramowany futrem i nieforemne, lecz chroniące od zimna śniegowce. Tak wyekwipowana wybrała się po sprawunki i — jak przystało na obywatelkę bogatego kraju — poszła kupić kwiaty, które kazała parokrotnie owinąć w bibułę, ażeby nie zmarzły.**

**Najbardziej nieprzygotowana na mróz była Paryżanka. Innymi laty o tej porze chodziła już przymierzać wiosenne kapelusze, a w tym roku musiała na głowę wciągnąć kapuzę, którą miała (na szczęście) przy futrzanym żakiecie dla ozdoby raczej niż ciepła. Niezrażona śniegiem, włożyła pod futerko spódnicę w kolorowe kraty, obcisły wełniany żakiecik i — bardziej paryska niż kiedykolwiek wyruszyła na miasto po sprawunki. Tylko nie myślcie, że poszła do drogiej kwiaciarni np. na Rue St. Roch — po tulipany. Celem jej wyprawy były długie na metr bułki, no i jarzyny, które schowała do koszyka i z których w domu przyrządzi „salade“.**

**Najmniej zdołał mróz zaskoczyć Warszawiankę. Nałożyła zeszłoroczne kapce, tegoroczną pilotkę, otuliła się pelisą przybraną rudymi (niestety krajowymi) lisami i odważnie zabrała się do pokonywania zasp śnieżnych, leżących na ulicach. Potem na chwilę wstąpiła do kawiarni i tam przeczytała w gazecie, że w bogatych krajach, niezniszczonych wojną, brak opału, prądu i gazu. Tymczasem w zrujnowanej Warszawie nikt się nie dziwi, że jest ciepło, jasno i telefony nawet zaczynają funkcjonować.**

**Tak się jakoś złożyło, że tegoroczna zima poprzestawiała naraz hierarchię komfortu w różnych metropoliach, przy czym wyszło na jaw, że w najbardziej zniszczonej stolicy świata ludzie zdołali — pomimo niezwykłych mrozów — utrzymać swój zwykły standart życiowy. (Jo).**

# KĄCIK FILATELISTYCZNY




**MONACO.** — We Francji, tak jak i w Anglii, postanowiono wybudować pomnik prezydentowi Rooseveltowi. Fundusze już są zbierane. Księstwo Monaco, chcąc przyczynić się do wyrażenia aktu wdzięczności temu wielkiemu człowiekowi, wydało specjalną serię: 10 c (lilaróżowy) w formacie trójkąta z portretem prezydenta, 30 c (niebieski) z widokiem księstwa z lotu ptaka, 60 c (zielonoczarny) z widokiem kasyna, 1 fr (sepia) i 3 fr (fioletowy) z mapą Monaco, 2 fr + 3 fr (zielononiebieski) z widokiem St. Devote oraz znaczki lotnicze 5 fr (różowokarminowy), 10 fr (czarnofiołkowy) i 15 fr + 10 fr (różowy w formie trójkąta) z portretem Roosevelta.

**BUŁGARIA.** — Na fundusz gwiazdkowy wydano serię znaczków o różnych motywach z życia dzieci: 1 l (brunatnofioletowy), 4 l (czerwony), 9 l (oliwkowy), 10 l (szary), 20 l (niebieski), 30 l (różowobrunatny), 40 l (lilabrunatny) i 50 l (zielony).

**RUMUNIA.** — Dla uczczenia kobiet rumuńskich wypuszczono serię znaczków o podłużnym formacie: 80 l (brunatnooliwkowy) z kobietą przy warsztacie tkackim, 80 l + 320 l (różowy), 140 l + 360 l (pomarańczowy) ze żniwiarką, 300 l + 450 l (zielonooliwkowy) z pasterką na koniu i 600 l + 900 l (niebieski) z kobietą z dzbankami. Napis na każdym znaczku brzmi: „Federatia democrata a fameilor din Romania“.

**ZSRR.** — Znaczek 30 kop, wydany w zeszłym roku z okazji 29 rocznicy rewolucji, znaczek jest również niezząbkowany. **(wo)**

Reprodukowany znaczek otrzymaliśmy z Biura Filatelistycznego T. Gryżewski (Łódź, Piotrkowska 47).

TYDZIEŃ

**w następnym numerze rozpocznie drukowanie opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza p. t. „Kongres we Florencji“**